Świat Kobiecy

ROK IX 15 GRUDNIA 1929 R. N-R 24



SWOIM WSPÓŁPRACOWNIKOM, PRZYJACIOŁOM I ABONENTKOM

NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

SKŁADA REDAKCJA

DO CZYTELNICZEK!

Zamykając dziewiąty rok istnienia „Świata Kobiecego", stajemy przed naszemi Czytelniczkami z uczuciem uczciwie i sumiennie spełnionego zadania. ■ Nie przyrzekamy nad miarę możności, nie staramy się o głośną reklamę, lecz usiłujemy gorąco wniknąć w istotne potrzeby pań domu ze sfer średnich i służyć im — wedle najlepszych chęci — zarówno moralną pomocą na drodze korespondencji, jak i wskazówkami praktycznemi w artykułach. ■ Pismo nasze, jakkolwiek o typie żurnalowym, chlubi się najpierwszymi w Polsce współpracownikami, i daje treść pełnowartościową, skondenzowaną, nierozwodnioną bezwartościowemi drobiazgami i czczą gadaniną. ■ Każda stronica, każdy wiersz niemal, jest w naszem piśmie wyzyskany ku pożytkowi Czytelniczek. ■ Każdy poszczególny dział jest głęboko i wnikliwie przemyślany, opracowany i jedynie z myślą służenia dobru naszych Czytelniczek wprowadzony. ■ Któraż kobieta może się dziś obejść bez swego pisma!? Pisma... ■ któreby jednoczyło w sobie zalety wielostronnego doradcy w królestwie domowem, w sprawach pedagogicznych, estetycznych i kultury ciała — ■ któreby pomogło ubrać siebie i swoją rodzinę modnie i wytwornie a ekonomicznie — ■ któreby umiejętnym doborem treści literackiej kształciło umysł i informowało o wszystkiem co się dzieje w literaturze i sztuce, w dziedzinie techniki, przemysłu i wynalazków. ■ Te wszystkie zalety jednoczy w sobie „Swiat Kobiecy", który z każdym rokiem staramy się doskonalić, pogłębiać i uwspółcześniać. ■ Gorącem uznaniem cieszą się praktyczne działy: Kącik praktyczny, który jest w pomysłach nieprześcigniony i uwzględnia wszystkie nadsyłane nam listownie życzenia Abonentek, dostarczając zarazem dokładnych krojów; Odpowiedzi redakcji, które już mają swoją markę; Cośniecoś dla Panów, stale prowadzony dział mody męskiej, nie uwzględnianej tak systematycznie w żadnem z pism pokrewnych, a za który to dział otrzymuje redakcja zewsząd słowa uznania. W skromnych gospodarstwach średnich sfer jest on wielką pomocą przy zakupnie garderoby, a formy na modele pyżam, chałatów i bielizny męskiej podawane w Kąciku Praktycznym są masowo zamawiane. ■ Powiększanie się liczby Abonentek z roku na rok, mimo całej powodzi nowych pism kobiecych w kilku ostatnich latach, jest naszą prawdziwą chlubą i radością, a zarazem dowodem pożyteczności pisma i jego dążenia z postępem. Im większa ilość Abonentek, tem większe możliwości rozszerzenia i wzbogacenia pisma. Dlatego w dobrze pojętym własnym interesie Czytelniczek prosimy je o zdobywanie nowych Abonentek i o przysyłanie nam adresów swoich znajomych, które otrzymają od nas numery okazowe „Świata Kobiecego". Niech ten drobny wysiłek wysłania kartki lub zaagitowania w towarzystwie będzie dowodem wdzięczności dla pisma, o której nas tak mile i często zapewniają Czytelniczki. My, ze swej strony, również potrafimy okazać wdzięczność w sposób, który nasze Sympatyczki w zupełności zadowoli. Warto pamiętać o tem, że „Świat Kobiecy" wypada taniej w prenumeracie. Prenumerata wprost, to znaczy w administracji pisma, jest najkorzystniejsza, gdyż uprawnia do bezpłatnych premij. ■ Piękne premje „Świata Kobiecego" otrzymują Czytelniczki po wpłacie półrocznego abonamentu. Czytelniczki, którym jest trudno uiścić naraz abonament półroczny, mogą go rozłożyć na dwie raty, muszą tylko zaznaczyć, że zobowiązują się do prenumeraty półrocznej. ■ Niektóre półroczne Prenumeratorki nie upominają się o pr mje, coby świadczyło, że niedość uważnie czytają nasze odezwy. Gdyby tę uwagę przeczytała któraś z nich, prosimy niech się natychmiast upomni o przysługujący jej tomik, dopóki mamy je jeszcze w zapasie. ■ Wszystkie nowe Abonentki „Świata Kobiecego" otrzymają bezpłatnie początek cennej i przepięknej powieści drukowanej obecnie w naszym dwutygodniku, a mianowicie: May Sinclair — Anna Severn, niech więc żadna z pań nie zapomni zażądać tego przy zamawianiu prenumeraty. ■ Każda półroczna Prenumeratorka otrzyma bezpłatną premję w postaci wybranej przez siebie książki z pośród następujących: Ewa Szelburg: „Polne grusze", Aleksander Dumas: „Historja dziadka do orzechów", Edgar Wallace: „Miś", oraz Pierwszy, Drugi, Trzeci, Czwarty lub Piąty Almanach „Świata Kobiecego".

OD WYDAWNICTWA

Na koszta przesyłki premij należy przysłać zł 1·50.

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA N-R 24 — ROK IX WARSZAWA — LWÓW 15 GRUDNIA 1929 ROKU

JAN PARANDOWSKI: Dar „Popiołów". — KAROL IRZYKOWSKI: Wieża Antybabel. — MICHALINA GREKOWICZ-HAUSNEROWA: Marja Curie-Skłodowska. — MARJA ANKIEWICZOWA: Kobieta i radjo. — RHONDDA: Kobiety haremowe. — KAZIMIERA ALBERTI: W dworku Jacka Malczewskiego. — MALIBRAN: Exegi monumentum... — MARTA: Wyrafinowana złośliwość (VI). — EWA SZELBURG: Ostatni pasjans pani Klementyny i t. d.

DAR „POPIOŁÓW"

Od paru dni wpatruję się znów w „Popioły". Powiedzieć że je czytam byłoby nieścisłe i nasuwałoby myśl o tem szybkiem przesiewaniu liter, które powszechnie nazywa się lekturą. Nie czuję w sobie żadnego pośpiechu. Wątek powieści leży we mnie głęboko, wolny jestem od niepokoju ostatniej stronicy i rozstrzygniętych wydarzeń. Odwracam więc kartkę po kartce i przeglądam obrazy, ludzi, rzeczy. Wpatruję się również w same słowa. Z najradośniejszem zdumieniem spotykam co chwila takie których dźwięk, barwa i znaczenie przynoszą wielki urok nowości, tak mógłby się cieszyć botanik na widok nowej odmiany kwiatu, albo znów odkrywają życie w formach uwiędłych, co byłoby radością przyrodnika, gdyby odnalazł w pełni świeżości i zapachu zaginiony gatunek flory, nazwałby to cudem i niewątpliwie język Żeromskiego zawiera bezliku tych cudów wskrzeszania, wracania żywotnej sprawności słowom obumarłym lub przygasłym.

Wpatruję się i w litery. Pomaga mi w tem egzemplarz który leży prze demną. Jest to monumentalne wydanie J. Mortkowicza*, dwa wielkie tomy, o kartach tak pięknie złożonych, że prawdziwej rozkoszy doznaje oko w rozważaniu powabu tych kształtnych, czystych czcionek. Sam druk nie jest jedyną ozdobą tego wydania. Są w niem ilustracje, dwojakie: rysunki E. Bartłomiejczyka i akwarele M. Borucińskiego. Obrazy Borucińskiego, pełne uroku barw i wysokiego umiaru w układzie i w ruchach postaci, skupiają w sobie wiele owej romantyki, którą przepojone są „Popioły", ale rysunkom Bartłomiejczyka wprost nie można się dość nadziwić. Doskonały trud wytrwałej i subtelnej techniki piórkowej objawił nieprzeczuwane możliwości, uśpione w tych drobniutkich siateczkach czerni, zamykających w swych oczkach równie drobne płatki bieli. Ileż sentymentu wydobył z drzew oszronionych, z pokrzywionych płotów, z wsi ukrytych za drzewami! Pejzaże przepojone powietrzem, postaci powiewne, otoczone mgłą lub pyłem świetlnym świerki wykwitające po górach, domy zawiane powietrzem jak śniegiem, zdumiewający rytm schodów — tysiąc rzeczy zatrzymuje na sobie owo marzenie z którego powstały.

Nie sądzę żeby nas znów tak mało było w Polsce, ludzi, zdolnych cieszyć się takiem pięknem. Od wydania „Popiołów" minęło dwadzieścia pięć lat. Sam tych czasów nie pamiętam, ale chyba żyje jeszcze pokolenie, które brało tę książkę gorącą dłonią młodości, przyjmowało ją upojeniem, błogosławiło wszystkiemi rozbudzonemi snami. Ci ludzie mają dziś jakieś własne domy, jakieś ogniska, rodziny, jakaś nowa młodość przy nich wyrasta. Chyba niczem nie można się podzielić tak czysto i święcie, jak tem co w latach uniesień było naszą największą chwałą: zdobyczą wielkiego piękna. Poezja przecież tylko w ten sposób żyje: odwija się nieustannie z jakichś ramion, obejmujących w uścisku młode, chłonne dusze.

Tu jest miejsce na dar „Popiołów". W czasie „gwiazdki", w okresie podarków, w dobie która obsypuje tysiące domów niedorzecznościami, kruchą i bezmyślną tandetą, w kulturalnym domu polskim powinna się znaleźć książka, jako dar najwyższej rangi. Istnieje tyle pięknych książek, że każdy wśród nich wybierze z łatwością rzecz, odpowiednią swym upodobaniom czy środkom. Jeśli wspominam o „Popiołach", czynię to w przekonaniu że nie powinny ominąć ani jednego domu polskiego, w którym jest dość miejsca na szafkę z książkami lub choćby na jakieś półeczki, rozjaśniające kąt pokoju.

Niepodobna wymierzyć ani odważyć wartości jaką tworzy tego rodzaju żywa obecność. Zawsze przecież, nawet w życiu najuboższem (nie z materjalnego ubóstwa, ale z zamętu, smutnego zamętu zwyczajnych trosk i pospolitych rozrywek), znajdzie się chwila szczerszej zadumy ludzkiej, chwila odosobnienia i jakby wyzwolenia, która może się stać najcudniejszą, gdy ta książka leży na odległość ręki. Przemówi z niej to co chyba nigdy nie stanie się obojętne jak długo istnieć będzie mowa polska i jak długo ta odrobina ziemi nosić będzie tę samą nazwę: niepojęty czar słowa, złotonośny kunszt zbierania wyrazów w harmonijnym układzie, i chwała spraw najprostszych, a wiecznie radosnych: pól, sadów, rzek, poników, deszczu i burzy, obłoków, ptasiego świergotu, tajemnicy lasów, tego całego świata wśród którego losy posiały nasze plemię, a którego różność, ozdobę, wdzięk serdeczny Żeromski wypowiedział tak jak nikt przed nim. Odczytanie stronicy, z której wypłynie śpiew słowika, niesłyszany w ten sposób pod żadnem innem niebem, lub w której otworzy się dusza człowieka o losach wyznaczonych przez gwiazdy zawieszone nad naszym krajem — daje czystszą, jaśniejszą, bardziej ludzką naukę miłości ojczyzny niżby to mogły uczynić przemowy ojców, perswazje państwa, nawoływania uroczystości narodowych.

I zdaje mi się że niejedno spojrzenie zatrzyma się jeszcze na facsimiliach rękopisu Żeromskiego. Wobec przejrzystego ładu czcionek dozna niepokoju na widok tych stronic zagmatwanych, porosłych gąszczem skreśleń i dopisanych wyrazów. Zetknie się z czemś nieznanem i osobliwem: z trudem pisarza, z męką wizji i z rodzeniem się słowa. To wejrzenie ma przecież swą wagę, choćby taką że książka, którą się tak lekko i zgrabnie w palcach przewraca, da odczuć na chwilę swój ciężar, swoje właściwe brzemię: myśl i serce pisarza.

JAN PARANDOWSKI

* Stefan Żeromski: Popioły. 2 tomy in folio. Sześć barwnych akwarel malował Michał Boruciński, 16 całostronicowych rysunków, ilustracje w tekście, ozdobniki i okładkę wykonał Edmund Bartłomiejczyk. Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie. — Obecnie wydanie to ma ukazać się w zeszytach, w ratach dla każdego dostępnych.

KAROL IRZYKOWSKI

WIEŻA ANTYBABEL

Założenie Osiedla Światowego w Genewie z pewnością leży na linji rozwoju współczesnych stosunków i należy do tych tendencyj dziejowych, które warto kultywować, — bo są jeszcze takie, które trzeba tłumić i tępić.

Międzynarodowość warta jest akuratnie tyle, ile jest warte wszelkie porozumienie, jasność, prawda. Gdy z pośród dwunastu zainteresowanych przynajmniej dziesięciu zasiędzie razem przy jednym stole debat, jest szansa, że przynajmniej ci wzajemnie będą sobie patrzyli na palce, i prawda automatycznie się wyłoni.

Ale międzynarodowość sama przez się nie jest żadnem panaceum. Oczywiście, — wszystkie sprawy, które nadają się do umiędzynarodowienia, niech będą umiędzynarodowione: pieniądze, praca, nauka, wychowanie, higjena, nawet sport. Wieżą Babel było zawsze rozproszenie, a nie skupienie wysiłków. Clearing, polegający na tem, że gdy w jednem miejscu czegoś brakuje, w innem nie powinno być tego czegoś za dużo, — jest możliwy i niezbędny.

Ale absolutny pożytek dla ludzkości nie jest jeszcze przez to wszystko zagwarantowany. Chodzi o to, co się umiędzynarodawia. Międzynarodowość jest obojętnem samo w sobie i obosiecznem narzędziem, które w pewnych mniej udoskonalonych formach istniało zawsze. Najczęściej jako *consensus omnium stultorum*. I wojna światowa była przecież także zjawiskiem międzynarodowem. A wojna z pewnością w ostatecznym wyniku tak samo zbliżyła narody jak sport. Czy przeto wojna ma zostać instytucją stałą?

Międzynarodowość, skoncentrowana w Osiedlu Światowem, da pewną ilość nowych możliwości i ułatwień kulturalnych, które powinny być odpowiednio zapłodnione, wyzyskane.

Otóż korektywem do poczynań Osiedla Światowego, a przynajmniej jednem z pierwszych jego przedsięwzięć, powinien być

KONGRES INTELEKTUALISTÓW,

w którym wzięliby udział uczeni i literaci całego świata. Wykluczeni byliby jednak czynni politycy, jako ludzie, którzy mając codziennie do czynienia z rozstrzygnięciami praktycznemi, zatracili pietyzm i skrupuły wobec rzeczywistości i przesiąkli pewnego rodzaju cynizmem i powierzchownością.

Jeżeli się zwołuje najświatlejsze głowy globu, to chyba nie dla bagateli, nie dla żadnej specjalnej sprawy bezpośrednio praktycznej. Jeżeli uczestnicy obrad kongresu, filozofowie, ekonomiści, psychologowie, historycy, socjologowie, teologowie, powieściopisarze, publicyści i t. d., wyzbędą się wstydu i obaw przed łatwem ośmieszeniem się w oczach wykształconego motłochu, to obiorą sobie dla obrad temat jak najogólniejszy, „banalny”, zaczerpnięty z dziedziny utopji, a mianowicie dawać będą odpowiedzi na pytanie:

DLACZEGO JEST TAK ŹLE, KIEDY WSZYSCY CHCĄ DOBRZE,

ze szczególnem uwzględnieniem:

1. sprawy powszechnego pokoju,
2. sprawy socjalnej.

Wprawdzie należy przypuszczać, że to pytanie jest właściwie nieustannym immanentnym motywem ich całej twórczości naukowej, publicystycznej, artystycznej, której poszczególne dzieła można sobie pomyśleć jako etapy czy epizody pewnego całokształtu, którego celem wspólnym jest dobro całej ludzkości. Ludzie ci nie potrzebują sobie tego nawet za każdym razem uświadamiać; mechanizm kulturalny ich pracy jest już sam przez się tego rodzaju, że ją około tego celu grupuje i ten cel podsuwa lub narzuca. Ale w ogromie celów cząstkowych zatraca się cel główny, wielkie zdobycze taktyczne mącą ogólny plan strategiczny. Prawda, że i ów plan dopiero razem z niemi powoli narasta, uświadamia się, — zachodzi tu swoiste *„hysteron proteron”*.

Raz przecież można sobie pozwolić na sprawdzenie wspólne wyników dotychczasowych i na próbę, czy już dziś one w jakiś sposób skoordynować i zastosować się dadzą. Obrady kongresu będą wielką ankietą, w której wszystkie zdobycze umysłu ludzkiego przejdą pod jarzmem owego banalnego a dręczącego ludzkość pytania. Uczestnicy kongresu zgodzą się na takie zwężenie czy strywializowanie swej wiedzy o świecie i człowieku. Ale z drugiej strony ta wiedza będzie musiała złożyć egzamin i niewątpliwie dane zostaną odpowiedzi głębokie, pouczające, wszechstronne, trafiające w sedno rzeczy, pesymistyczne i optymistyczne, stare i nowe, a może niejeden z uczestników dopiero w zetknięciu z owem obcesowem pytaniem, ku własnemu zdziwieniu wydobędzie ze swej wiedzy wskazówki i rozjaśnienia, jakich się sam nie spodziewał. Trzeba, żeby wszyscy pokazali swoje rezerwy.

Na czas kongresu chroniczny stan przesilenia w społeczności ludzkiej uznaje się za ostry; kwestję socjalną i kwestję pokoju stawia się pod alarm, wiesza się je u wielkiego dwonu; intelektualiści mają zachować się tak, jakby się zachowali astronomowie, fizycy, inżynierowie w chwili, kiedyby dostrzeżono oznaki, że księżyc wyruszony ze swej orbity zaczyna spadać na ziemię.

Nawet gdyby kongres intelektualistów do „pozytywnych wyników” nie doszedł, — a już sama jego natura wyklucza „wyniki pozytywne” w znaczeniu zwykłem, — nawet jego wyniki „negatywne” będą symptomatyczne, a sam fakt jego zebrania się będzie precedensem na przyszłość. Z pośród setek kongresów, które się corocznie odbywają, z pewnością nie będzie to kongres najbezużyteczniejszy.

Kongres wyłoni z siebie stałą instytucję, trybunał intelektualny ludzkości, który wykonywać będzie nieobowiązującą krytykę i kontrolę nad działalnością Ligi Narodów i innych międzynarodowych instytucyj.

Projekt ten można załatwić w różne sposoby:

1. Albo go wyśmiać, uznać za niepotrzebny, ponieważ to wszystko, czego projekt chce, niby i tak się już dzieje na raty.
2. Albo wogóle go zignorować i zlekceważyć.
3. Powiedzieć, że trzeba odłożyć go na przyszłość o wiele dalszą.
4. Przyznać mu rację bytu, ale wykazywać niemożność zrealizowania.
5. Uznać jego potrzebę, ale postępować tak, aby ostatecznie nie przyszedł do skutku.
6. Poprzeć go otwarcie i szczerze, rzucając na szalę cały zapas swej woli i wiedzy.

Autor projektu, stawiając go, nie szuka w tem osobistej sławy, — przeciwnie, ryzykuje śmieszność; chodzi mu o rzecz samą, i gotów jest później wskazać mężów i doktryny, które go inspirowały i których czuje się niejako wykonawcą.

* * *

Artykuł niniejszy ukazał się po raz pierwszy w warszawskim miesięczniku p. t.: „Europa” (w N-rze 2 z b. r.), wraz z dopiskiem, w którym redakcja tego niezależnego wydawnictwa uprasza wszystkie pokrewne pisma Polski i Europy o ogłoszenie powyższego projektu, a uczonych, publicystów i literatów wzywa, aby zabierali głos w sprawie samej idei projektu i możności zrealizowania go.

MARJA SKŁODOWSKA CURIE

Pewna ankieta popularna, przeprowadzona za granicą na pytanie o najsławniejszą na świecie kobietę, dała odpowiedź: Marja Curie - Skłodowska. Istotnie — imię znakomitej Polki, złączone z francuskiem nazwiskiem godnego niej towarzysza życia i pracy, głośne jest wszędzie, dokąd dotrzeć zdołała wiedza i kultura. Sława to niepodobna do owych błyskotliwych fajerwerków, jakiemi olśniewają świat królowe ekranu i konkursów urody, ani do owych szumnych trąb rozgłosu, któremi ogłuszać nas zwykła modna, płacona reklama. Jej sława — to mocny, granitowy stopień, położony przez nią samą trudem całego życia na drodze ludzkości ku Prawdzie i Dobru — stopień, jaki zbudować dotychczas zdołało niewielu Polaków — kobieta wogóle chyba żadna.

Kim jest Marja Curie-Skłodowska — wiemy przeważnie wszyscy. Że urodziła się w Warszawie w r. 1867, córka profesora matematyki i przełożonej jednej ze szkół żeńskich, że największą tęsknotą jej lat młodocianych były studja w zakresie nauk ścisłych, że marzenie spełniło się, gdy 24-letnia panna Marja mogła wyjechać do Paryża — i że jej gorliwa praca na obczyźnie, prowadzona wraz z mężem, Piotrem Curie, wydała niespodziewany, wspaniały wynik w postaci odkrycia radu.



MARJA SKŁODOWSKA CURIE

Ale może nie każdy wie, jak wielkiem oddaniem się umiłowanej gałęzi nauki, wyrzeczeniem się świata i jego uciech (w Paryżu!), ubóstwem wreszcie okupili państwo Curie swoje imponujące zwycięstwo. Największą radością ich życia była — stara szopa w podwórzu Szkoły Fizycznej, zamieniona z rupieciarni na mizerne, pozbawione wszelkich urządzeń i wygód laboratorjum, rozjaśnione jednakże dwoma najcenniejszemi dla nich światłami: promieniami wyłaniającego się z retort i probówek radu i — miłości wzajemnej, mocnej, jedynej, łączącej do grobu oddane wspólnej idei duchy. W tej szopie mieszkało naprawdę szczęście — możniejsze, niż w najbogatszych pałacach świata...

Kiedy nieszczęśliwy wypadek odebrał Marji wybranego towarzysza, nie utopiła wielka uczona we łzach swego genjuszu. Przeciwnie, uznała, że teraz wyłącznie na jej kobiecych barkach, na jej głowie spoczywa dokończenie wielkiego zadania, które sama zapoczątkowała. Światła współpraca Piotra Curie umożliwiła jej wprawdzie osiągnięcie tak świetnego rezultatu badań — ale inicjatywa ich, wykrycie istnienia nowych pierwiastków, polonu i radu, było dziełem Marji Skłodowskiej. Laureatka Nobla do spółki z mężem za odkrycie w dziedzinie fizyki, dosłużyła się sama po raz drugi tej samej nagrody za zdobycze naukowe na polu chemji. Świat cały uznał rodaczkę naszą za genjalną uczoną, składając jej hołd realny, trwały, w postaci świetnych fundacyj naukowych. Powstał oto w Paryżu za jej staraniem Instytut radowy — powstała podobna instytucja w Londynie, jej imieniem nazwana — Akademja nauk medycznych w Paryżu ofiarowała pani Curie godność swego członka, kobiety amerykańskie złożyły w jej ręce fundusz na zakupienie jednego grama radu, który kosztuje spory majątek (50.000 dolarów).

Trudno oprzeć się uczuciu dumy, myśląc i pisząc o tej przedziwnej, cudownej historji, której bohaterką jest kobieta i Polka. A jednak — jest w niej miejsce i na moment szczerego wstydu. Jakto? oni wszyscy, ci obcy, dalecy — a my, rodacy, dotychczas prawie nic? Curie - Skłodowska pragnie przywieźć ów drogi klejnot, królewskim gestem jej ofiarowany — do Polski, o której w swej samotni naukowej i w triumfalnej podróży po świecie nie zapomniała i której służyć pragnie. Daru tego jednakże, tak cennego dla nauki, dla postępu, dla cierpiącej ludzkości — nie ma gdzie złożyć, bo nie mamy jeszcze w Polsce instytutu radowego. Istnieją dopiero jego początki.

Przed kilku laty „Komitet Daru Narodowego dla Marji Skłodowskiej-Curie” rzucił inicjatywę budowy Instytutu Radowego dla walki z rakiem w Warszawie, przy ul. Wawelskiej, nr 3, na placu ofiarowanym przez uniwersytet warszawski. Budowa już rozpoczęta, brak jednak środków na jej dokończenie. Mówiąc wyraźnie — potrzeba jeszcze 900.000 zł. I wiele i mało... Stanowczo mało, jeśli się zważy, że za ten niecały miljon uwieńczone będzie olbrzymie dzieło kulturalne, które postawi nas w rzędzie narodów, walczących o postęp, wiedzę i ratunek dla nieszczęśliwych — że za ten niecały miljon nietylko uczcimy godnie imię naszej świetnej uczonej, ale damy tysiącom ulgę w cierpieniu i nadzieję wyleczenia. Instytut radowy, pomyślany na szeroką, europejską skalę, oparty na zasadach humanitarno - społecznych, dostępny będzie i dla najbiedniejszych. Będzie miał szpital dla niezamożnych i lecznicę dla zamożniejszych, będzie miał pawilon dla rentgenoterapji, pawilon dla pracowni ściśle naukowych i osobny oddział dla prac nad samym radem.

Sprawa ta w pierwszym rzędzie obchodzi nas, kobiety.

Wszak to z naszego grona wyszła ta genjalna głowa, to pełne młodego zapału, gorące serce — wszakże to kobiety przeważnie będą pacjentkami przyszłej lecznicy, jako częściej ulegające strasznej chorobie raka, niż mężczyźni.

Każda z nas może stanąć w rzędzie fundatorów Zakładu, jeśli zakupi za 100 zł cegiełkę na budowę Instytutu. Można składać i drobne kwoty, nabywając marki po 10 gr.

Ale ja proponuję, ażebyśmy razem, jako czytelniczki „Świata Kobiecego”, nabyły jeden udział członka-założyciela za 1.000 zł. Czy zgoda?

MICHALINA GREKOWICZ - HAUSNEROWA

KOBIETA I RADJO

Życie powojenne skoncentrowało na kobiecie uwagę współczesności. Zaczęła ona przenikać powoli, a z nieubłaganą konsekwencją we wszelkie przejawy tego życia, objęła placówki, stanęła do pracy. Powołała ją do tego konieczność.

W pierwszym momencie kobieta, która wyszła nazewnątrz swego domu, witana była ze zdumieniem, potem z uczuciem ulgi, że dzięki jej współpracy nie zbraknie rąk do utrzymania porządku świata, bo to był okres wojny, kiedy mężczyzn ubywało z dnia na dzień. Aż wreszcie, gdy wojna ucichła, a mężczyźni powrócili, kobieta stała się intruzem, ponieważ zajmowała im tylko poprzednio przynależne miejsca.

I znów zaczęła się walka — „uprzywilejowanych" z „upośledzonemi", walka mająca na celu ponowne usunięcie kobiety w cień. Te tarcia i antagonizmy miały jeszcze wytłumaczenie w porywach zadraśniętej ambicji lub tak dominującej w człowieku — wyłączności praw.



MARJA ANKIEWICZOWA
kierowniczka „Działu kobiecego" w radjofonji polskiej

Ludzie władzy nie znoszą obok siebie uzurpatorów. A takiemi właśnie uzurpatorkami stały się mimowoli względem mężczyzn — kobiety

To się da jednak zastosować tylko do ich stanowisk w sądownictwie, parlamencie, przemyśle, świecie finansowym lub naukowym, gdyż te dziedziny były uważane za dostępne wyłącznie dla mężczyzny. Sztuka, literatura, pedagogika, oraz zadania społeczne nigdy nie nosiły piętna wyłączności. A cóż dopiero mówić o radjo, tym benjaminku naszego stulecia?

Tu jeśli kobieta zapragnęła pracować, nikomu nie odebrała stanowiska, nikomu nie wydarła chleba; dołączyła jedynie swój dorobek intelektualny do kapitałów wniesionych przez mężczyznę, aby razem z nim stworzyć pełne wartości współczesnego życia.

A jednak mimo wszystko i tu, na tej nowej drodze napotkała kobieta spiętrzone przeciwności i nieufność ogółu.

Był okres kiedy od radja wymagano jedynie aby było słyszalne, a co ono nadaje, dla słuchaczy zgoła było obojętne.

Potem radjo miało obowiązek uczenia, potem tylko niesienia rozrywki, aż wreszcie dziś wymaga się od radja, aby było najżywotniejszym organem, urozmaicającym monotonję życia, dając mu zdrową treść w beztroską i wesołą ujętą formę.

Radjo ma stać się życiem samem i docierać wszędzie tam, gdzie o jego tempie i bujności wyjątkowe warunki egzystencji każą ludziom zapomnieć. Dla radja niema przestrzeni i czasu. Dociera ono w ułamkach sekundy tam, gdzie słowo drukowane nie znajduje dostępu.

Jaką rolę w radjofonji zająć ma kobieta wobec tych zadań i tych możliwości?

Potrzeba współpracy kobiecej na tej nowej placówce stała się tak jasna i bezsporna, że na wszystkich stacjach europejskich powoli zaczął się organizować i wyodrębniać z programów ogólnych — dział kobiecy.

Wyodrębnienie to następowało jednak bardzo powoli i szło bodajże drogą największego oporu.

Porównajmy jak rozwijały się audycje kobiece w Niemczech, w radjo sowieckiem, a jak u nas.

Tak zwana „Godzina kobiety" w radjo niemieckiem rozpoczęła swą działalność od informacyj gospodarczych i wskazówek kulinarnych.

Przyjmowana na wszystkich stacjach z rezerwą, witana była przez część słuchaczy z pobłażliwym uśmiechem, przez drugą mniej liczną, ale zato bardziej zainteresowaną z zadowoleniem.

W krótkim czasie działalność „Godziny" rozszerzyła się, obejmując zagadnienia z dziedzin: prawnej (przedewszystkiem w stosunku do służby domowej), wychowawczej, społecznej, artystycznej, sportowej i t. p.

Twórczy i refleksyjny umysł kobiecy umiał niebawem ocenić znaczenie radja jako organu publicystycznego, idealnie przyczyniającego się do uspołecznienia i zrzeszenia mas kobiecych.

Te ostatnie walory radja zostały specjalnie wyzyskane w radjofonji sowieckiej. Trudne a nieraz wywrotowe warunki egzystencji zmusiły kobiety sowieckie do uciekania się do środków represyjnych.

Zaczęła „Godzina kobiety" swą pracę również od ułatwień i przepisów gospodarskich, a pociągnąwszy kobiety ku sobie dobrą wolą i pozyskawszy ich zaufanie zawsze chętnie okazywaną pomocą, przeistoczyła się „Godzina" w jedną z ważniejszych i poważniejszych organizacyj kobiecych z podziałem na referaty i komisje dla wszelkich możliwych zagadnień życia domowego i społecznego. — Zaznaczyć należy, że „Godzina kobiety" nie otrzymuje żadnych subwencyj. Członkiniami jej są gospodynie, które po skończeniu swych zajęć domowych dobrowolnie poświęcają swój czas i trud służbie społecznej. Jedyną pomoc jaką okazuje im miasto — to bezpłatny przejazd tramwajami.

A oto przykład ich pracy: na peryferjach miasta w pewnym domu trzech wyrostków terroryzuje całą kamienicę, piją, kradną i demoralizują młodzież. Nikt nie ma odwagi im się przeciwstawić. Zostaje wysłany list do „Godziny kobiety".

I oto pewnego rana na podwórzu pojawia się niepokaźna kobiecina. Obserwuje dom, zasięga informacyj o niebezpiecznej trójce, a po tej wizycie policja dostaje polecenie aresztowania chłopaków i ulokowania ich w domu poprawczym.

Kamienica oddycha.

I znów jeden dowód więcej, że właśnie w kobiecych rękach koncentruje się piecza nad obyczajami społeczeństwa i że gdziekolwiek zagraża niebezpieczeństwo obniżenia się poziomu etycznego, tam zawsze kobieta staje do walki o podstawy moralności.

A u nas?

Od czterech lat istnieje radjo, a radjofonja polska święci triumfy na terenie europejskim. A jednak o dorobku z dziedziny zagadnień kobiecych niewiele da się powiedzieć.

Jest to tem smutniejsze, że stacja warszawska mimo wszystko pierwsza zdecydowała się wyodrębnić w programach kwestje kobiece w postaci „Kącika dla kobiet". Minimalna ilość czasu (25 minut na dwa tygodnie) oraz brak możności zapoznawania słuchaczy z różnorodnemi kobietami współczesnej doby nie mogły jednak zabezpieczyć należytego rozwoju sprawom kobiecym.

A przyznać trzeba, że właśnie najliczniejszymi i najwdzięczniejszymi słuchaczami są kobiety i dzieci.

Programy dziecięce z wielkiem zrozumieniem ich potrzeb i zamiłowań prowadzi w Warszawie p. Wanda Tatarkiewicz-Małkowska. Jak wdzięczna i o jak wielkiem znaczeniu pedagogicznem jest ta praca, świadczą listy dzieci, kierowane do p. Tatarkiewicz, które chętnie okazują pomoc i współczucie każdej niedoli dziecięcej!

Jeśli tak wdzięcznem polem jest praca dla dzieci, jak wielkie znaczenie kulturalne mieć może praca dla rzesz kobiecych, którym nieść może i powinna należytą ocenę wartości życiowych.

Dyrekcja Polskiego Radja w zrozumieniu potrzeb społeczeństwa kobiecego przeobraziła dotychczasowy „Kącik dla kobiet" w poważnie już traktowany „Dział kobiecy".

Kompetencje kierowniczki tego działu rozszerzyły się do możności zapraszania do mikrofonu wybitnych sił kobiecych; a tem samem zapoznawania słuchaczek z pionierkami ruchu gospodarczego, społecznego, zawodowego, naukowego, artystycznego i t. p.

Powiększyła się znacznie i ilość audycyj miesięcznych. Miejmy więc nadzieję, że z biegiem czasu program „Działu kobiecego" w radjofonji polskiej nie będzie ustępował zagranicznym.

MARJA ANKIEWICZOWA

KOBIETY HAREMOWE

„Smart set" — to już dziś nie znikomy ułamek tylko tego towarzystwa, co pędzi w Londynie żywot miły i beztroski. Dziś już każde miasto prowincjonalne ma swoje „smart set": grupę bogatych, bezmyślnych, a rozpróżniaczonych kobiet. Są to owe rozpieszczone, troskliwie strzeżone małżonki i córki ludzi wpływowych a bogatych, pod wpływem których ideał życia haremowego zakorzenia się coraz silniej w towarzystwie.

One to wpajają w młodzież obojga płci, należącą do ich sfery, pogardę dla wszelkiej pracy, a szacunek dla próżniactwa; w ich przekonaniu jedynie zbytek, wygoda, zabawa, bałwochwalczy kult własnej osoby i sukcesy towarzyskie mają jakąś wartość, a wszystkich innych ludzi oceniają one wedle ich ubrania i stosunków towarzyskich.

Ich płeć stała się ich zawodem. Przykładają do tego olbrzymią wagę, omawiają dotyczące zagadnienia i problemy, przekonane święcie o niesłychanej wadze swej siły przyciągającej. Stanowisko swe zawdzięczają wyłącznie swej płci, a kiedy rozmawiają ze sobą na ten temat, to właściwie omawiają poprostu kwestje czysto zawodowe.

Prawda, zawsze mieliśmy taką „smart set" wśród najwyższych sfer tak zwanego towarzystwa. Gdy jednak dawniej należała do tej „śmietanki" tylko bardzo ograniczona liczba osób, to dziś ilość tych osób powiększyła się ogromnie. A kobiety te stały się dziś prawdziwem niebezpieczeństwem, skutkiem swego niezdrowego, niemoralnego i działającego rozkładczo światopoglądu, co nie pozostaje bez ujemnego wpływu na inne, szerokie warstwy społeczeństwa.

Dzisiejsze bogate dziewczęta tworzą osobną klasę niewolnic. Prawda, że są one wolne, — ale pod względem sposobu myślenia i życiowych ideałów nie różnią się niczem od niewolnicy. Młoda Angielka bywa wychowywaną w ten sposób, iż uważa to za swoje dobre prawo, aby ktoś opiekował się nią i starał się o jej utrzymanie. Nie przyłoży ręki do żadnej pożytecznej działalności, i owszem, gardzi poprostu pracą. Skoro stanie się dorosłą kobietą, nie ma właściwie innego zajęcia, jak „zabijanie czasu". Nawet kiedy ma już jedno czy więcej dzieci, to po pierwszych dwuch lub trzech latach dzieci te wypełniają jej zaledwie co najwyżej połowę jej czasu.

Próżnujące te kobiety grają w bridga, ozbijają się autami, tańczą, grają w tennisa, uważając te zabawy za swe najważniejsze zajęcia. Zadowalają się posiadaniem jakiegoś modnego pieska, wyrzucają niestosunkowo dużą część dochodów swego męża na toalety i klejnoty, połykają romanse i ilustrowane czasopisma. Zainteresowanie ich do reszty świata ogranicza się na tem, że czują wstręt do dzisiejszej Rosji, a uwielbiają Mussoliniego. A o ile idzie o sprawy ich własnej ojczyzny, są one zdania, że robotnik jest człowiekiem złym, bo i on pragnąłby mieć pieniądze i te wszystkie udogodnienia życiowe, które kobiety ze „smart set" uważają za rzecz najdonioślejszą.

Oto jest ta kobieta haremowa dzisiejszej zachodniej kultury, — kobieta, której wpływ na dzisiejsze społeczeństwo ustawicznie wzrasta. Niezmordowanie głosi ona swoje zapatrywanie, że tego rodzaju życie, jak ona je sobie wyobraża, jest czemś możliwie najmilszem i najpiękniejszem. Oczywiście, że podobne poglądy działają zaraźliwie na młodych ludzi, którzy tak samo ze swej strony dążą do ułożenia sobie wygodnego próżniaczego życia, bez jakichkolwiek zobowiązań i odpowiedzialności. Młode dziewczęta zaś dążą do zapewnienia sobie podobnej beztroskiej i bezmyślnej egzystencji za cenę małżeństwa. Jest to życie poprostu haremowe, jakkolwiek poza obrębem haremu.

Przed niespełna pięćdziesięciu laty pisał John Stuart Mill w swojem dziele o „Ujarzmionych kobietach":

„Wpaja się w nią przekonanie, że rzeczy leżące poza obrębem jej sfery nic jej nie obchodzą. Skutkiem tego rzadko kiedy ma ona o nich uczciwe i szczere pojęcie... Nie potrafi ona ustosunkować się odpowiednio do żadnych zagadnień politycznych, — na czem jej zresztą zupełnie nie zależy. Wie natomiast doskonale, jakie korzyści można wyciągnąć z majątku, stosunków i zaproszeń, w jaki sposób można zdobyć tytuł szlachecki dla małżonka, w jaki sposób wyrobić synowi dobrą posadę, a znaleźć odpowiednią partję dla córki".

W czasie kiedy Mill pisał to dzieło, kobiety faktycznie traktowano jeszcze jak niewolnice; ale i dziś jeszcze, mimo ich zupełnego wyzwolenia, można uwagi powyższe zastosować doskonale do niejednej kobiety. Bo i dzisiejszej, wyswobodzonej Ewie nie daje się właściwego wykształcenia, nie wpaja się w nią poczucia odpowiedzialności, ani nie daje się jej sposobności do wyrobienia w sobie tego poczucia. Dlatego też tyle dzisiejszych kobiet, choć posiadają one o wiele większy wpływ, niż to dawniej bywało, — trzyma się uporczywie starych, poniżających je poglądów i ideałów, datujących się z owych czasów, kiedy to wedle ustawy kobieta zaliczaną bywała do ruchomych i nieruchomych dóbr swego męża, kiedy po ślubie nie posiadała niczego, coby mogła nazwać swoją własnością, kiedy nawet nie mogła zdobyć odpowiedniego doświadczenia, umożliwiającego jej konkurowanie z mężczyznami, jako istocie równorzędnej, wyposażonej w te same co i on środki walki.

Dzięki naszym ustawom, zwyczajom i konwenansom towarzyskim i dzisiejsza kobieta ciągle jeszcze nie ma poprostu możności pełnego rozwoju poza t. zw. życiem towarzyskiem. Skoro kobieta wyjdzie zamąż, wymaga się, a nierzadko poprostu zmusza się ją do tego, aby zrezygnowała ze swego dotychczasowego zawodu i zamknęła się w ciasnem kole pożycia domowego, co przecież ani nie wyczerpuje pełni jej sił, ani też nie może zaspokoić jej wszystkich duchowych potrzeb.

A przecież właśnie niejednokrotnie dopiero po małżeństwie kobieta staje się jeszcze lepszą i dzielniejszą pracownicą. Odnosi się to zwłaszcza do zawodu nauczycielskiego. Przytem charakter młodego dziewczęcia krzepnie dopiero po małżeństwie. Kobieta oddaje się swej pracy z całą energją i przykłada do niej znacznie większą wagę.

Z chwilą, gdy młode dziewczęta wychowywać się będzie w ten sposób, żeby nie widziały one w małżeństwie jedynego celu i ostatecznego ukształtowania swego życia, a co za tem idzie, zrezygnowania z jakiejkolwiek czynnej, indywidualnej pracy, — wówczas ustanie ów zgubny wpływ, wywierany przez kobiety ze „smart set", — wówczas powstrzyma się dalszy rozrost tej próżniaczej, nieodpowiedzialnej a niebezpiecznej warstwy naszego społeczeństwa.

Podobnie jak mężczyzna może poza małżeństwem znaleźć zadowolenie, szczęście i powodzenie w życiu, — tak samo powinno to być umożliwionem i kobiecie, o ile tylko wyzwoli się ona z pęt przestarzałych poglądów i przełamie swe uprzedzenie do mężatki, pracującej nadal w swym zawodzie. Przez to, że mąż i żona pracują każde zosobna, małżeństwo na pewno się nie rozbije, — bo gdyby tak być miało, to już dziś sędziowie nie mogliby podołać swej pracy w procesach rozwodowych.

Całem nieszczęściem takiej kobiety, pozostającej pod wpływem haremowych poglądów i ideałów jej sióstr ze „smart set", jest fakt, że nie widzi ona wogóle możliwości jakiejkolwiek pracy, mogącej jej dać pełne zadowolenie, — a jeżeli może rozwinąć jakąś działalność, to tylko w jej sferze towarzyskiej. Dlatego też rzuca się gorączkowo w wir tego bezmyślnego, denerwującego życia towarzyskiego i szuka pomocy mężczyzn, aby mogła tego rodzaju życie wieść *ad infinitum*.

Wystarczą jej drobne, nikłe triumfy dla zaspokojenia wrodzonej próżności, — pozwalają jej one łudzić się i zapomnieć o tem, że w gruncie rzeczy jest ona dużo mniej warta od innych kobiet, znajdujących pełne zadowolenie w pracy.

Nadejdzie kiedyś czas, kiedy społeczne sumienie kobiety lepiej się rozwinie. A wówczas, — tak samo jak mężczyzna, — nie będzie ona po ślubie myślała o porzuceniu swego zawodu.

Wówczas też ów typ dzisiejszej kobiety ze „smart set" spotykać się będzie nie z podziwem, jak dotąd, lecz raczej z pogardą, — straci posiadane dotychczas wpływy i skończy raz na zawsze swoją rolę w życiu społeczeństwa.

Ale narazie, póki jeszcze niebezpieczeństwo nam grozi, jest naszą rzeczą podjąć z niem skuteczną walkę. RHONDDA (Anglja)

W DWORKU JACKA MALCZEWSKIEGO

Wisi w mojem mieszkaniu piękna akwarela Rafała Malczewskiego, przedstawiająca dworek ojca pod Zakliczynem. Akwarela niezmiernie jasna, ciepła, cała w tonach zielono-różowych. Pociągały mnie zawsze te białe kolumienki i taras, jakby zapraszający do wejścia, i różowe klomby. Wszystko to, co z miłością ręka syna na papier położyła.

Dzisiaj mam ten dworek zobaczyć — żywym.

Jest właśnie dzień cały opisany kolorem rudego kasztana i barwą błękitu październikowego, dzień ze smużkami złotawej już zieleni i z błyskiem ciepłej, czystej różowości.

Maszyna nasza mija Tarnów, górę Zbylitowską z klasztorem, most na perłowo-niebieskim Dunajcu i szybko wjeżdża na drogę górską. Powietrze pachnie brzozą, niedzielą i spokojną jesienią polską. Jest naprawdę brzozowo, niedzielnie i jesiennie.


DWOREK JACKA MALCZEWSKIEGO W LUSŁAWICACH

Prędko mijamy Wojnicz, potem jakieś dworskie ciche rezydencje powtulane w czerwone, cieniste ramiona winogradów. Za każdym zakrętem jest co innego. Na każdej serpentynie wszystko dookoła się zmienia. Nie wraca... to samo. Nic się nie powtarza. Niema dwuch obrazów jednakowych. Ciągle jest na tej drodze z Wojnicza do Zakliczyna inaczej.

Pod Zakliczynem przy moście na Dunajcu stajemy. Dobrze jest potem wyjść na szczyt góry i z romantycznych, rozpierzchłych ruin zamku objąć spojrzeniem zachwyconem całą kotlinę zakliczyńską, krawędziami opartą mocno o wysokie wzgórza i zamkniętą srebrnym kluczem Dunajca. Powietrze pachnie teraz żywiczną sosną i ożyną słodką. Ostatnią pewnie. Potem zbiega się nadół jak najszybciej, bo zawsze o każdej porze dobrze jest poczuć, że się jest młodym i że się ma zdrowe, śmigłe nogi.

Stąd już tylko trzy kilometry do Zakliczyna. Schludne, czyściutkie miasteczko górskie. Domki o typowych, nawiśniętych okapach. Coś tak jak podsienie?

A stąd już tylko dwa kilometry do Lusławic, do dworku Jacka Malczewskiego.

Już zdaleka, z gościńca poznaję, że to właśnie tam, na tej wysepce złożonej z drzew złotych, wysokich i z kolumienek biało przeświecających. Już jesteśmy w parku szumiącym i półkolem ścieżki zajeżdżamy przed dworek. Oczywiście wszystko jest tak jak na akwareli syna. Cztery kominy, białe kolumienki, taras. Klomby, tylko tamte różowe, letnie, a te podbiegnięte już krwią jesienną.

I drzwi otwarte naoścież. Choć nikt tu jeszcze z pogrzebu nie wrócił.

Wita nas głos psa „Pufa". I te spojrzenia mądre, zgóry przebaczające, jakiemi zawsze darzy nas pies stary, wysłużony, taki który wie, że jest tu ważny, konieczny, potrzebny.

Przedpokój pachnie fuksją, zielonemi pomidorami i czystą, szorowaną podłogą. Są tu obrazy Rafała. Jakieś jego pierwsze, dziwne rzeczy.

Kładę rękę na ostrej, popielatej sierści starego, głuchego „Pufa". Już od tej chwili idzie obok mnie. Czy czuje, że kocham zwierzęta? Gospodyni niska, gruba, ta sama, która za chwilę spojrzy na mnie z ogromnego płótna Jacka Malczewskiego — wita nas łaskawym, pyzatym uśmiechem.

O jakże się w tym dworku splotło życie ze sztuką!

Gospodyni ociera ręce fartuchem a za chwilę już na obrazie trzyma wspaniałego koguta z czerwonym grzebieniem.

Staruszka w czerni, która gdzieś daleko patrzy na portrecie przed siebie — podaje nam rękę — żywa — i oprowadza po pokojach.

O jakże się naprawdę splotło tu życie ze sztuką!

Ci inni z portretów, wrócą tu po pogrzebie — tylko już nigdy do tych izb łaskawych, poważnych nie wróci ten, przed którego autoportretem stajemy właśnie.

Znów może wiosną na drodze z Lusławic do Charzewic na tle ciemnego horyzontu ukaże się „św. Agnieszka i pierwsze ptaszki wypuści z mieszka" — jak tu na tym wspaniałym obrazie wiszącym w starej pracowni mistrza, ale on już tego nigdy nie zobaczy, jak nie zobaczył już zmarzniętych grabów i kasztanów po ostatniej, okrutnej zimie.

Z wielu szkiców spojrzy na nas syn Rafał i zaskrzypi stary fortepian, gdy się o niego oprzemy, i chwilowy odpoczynek dadzą niebieskie, wypłowiałe fotele.

Jest tu pełno antycznych komódek, szafeczek, półek — jest widok na drzewa parkowe i jest mnóstwo obrazów. Rzeczy najstarsze — wspaniały portret Karczewskiego, obrazy z lat ostatnich, szare, dziwne, gdy już Malczewskiemu wzrok nie dopisywał a trudno się było rozstać z pędzlem.

W tych pokojach przepędził parę ostatnich lat, nawet zimą musiał tu bywać. Mieszkał tu z małemi przerwami od r. 1919, tu na tych sztalugach w rogu malował. A malował w Lusławicach wiele, kochał te kąty. Tę całą kotlinę zakliczyńską, gdzie czuł się daleko od ludzi, w swoich genjalnych wizjach zatopiony aż po kres.

Potem żegnają nas begonje na tarasie i „Puf" szczeka na warczącą maszynę.

Wyjeżdżamy. W przedwieczornym cieniu różowawym ginie droga do Charzewic. Może co wiosny zjawia się na niej św. Agnieszka i pierwsze ptaszki wypuszcza z mieszka — ta sama, która w jakimś rytmie wizyjnym zstępuje z szarego horyzontu na obraz Jacka Malczewskiego.

Dziś droga św. Agnieszki omotana kolorem ciepło kasztanowym — ginie za nami.

Tylko w oczach zostaje wizja świętej i obraz czoła skąpanego w bólu twórczym. Czoła z autoportretu.

Wiem, że po powrocie znowu inaczej popatrzę na obraz dworku, malowaną troskliwą i pieczołowitą ręką syna.

KAZIMIERA ALBERTI

NA TARASIE PRZED ŚWITEM

Bo właśnie jest lipowe, syte, skrzętne lato
i noc po deszczu pełna smużek ciemnej ochry,
wołyńska noc jakgdyby z mieniącego spatu,
gałęzie zwisły ciężko, całe jeszcze mokre.

Bo właśnie jest ta pełna tajemnicy chwila
pomiędzy zmierzchem nocy a świtem najpierwszym
kiedy dym z papierosa twego jest zupełnie lila
a hieroglify kłębów piękniejsze niż wiersze.

Aż tu — na mokry taras — przywiała woń róży,
zbudził się szum rytmiczny niby zwięzły trochej
skandowany namiętnie i coraz to dłużej,
już nawet twoje rysy rozpoznaję trochę.

Świt się wnet o kolorze bladym wosku przetrze
i po gałęziach spłyną grochy ciężkiej rosy
i stuk pójdzie łakomy, pluszczący i bosy
i różą i odjazdem zapachnie powietrze.

I gdy na taras padnie pierwsza smużka płowa,
gdy zbledną kłęby dymu coraz mniejsze, rzadsze
wśród ludzi będzie można tylko tak bez słowa
wypalić papierosy —
i skrycie popatrzeć.

POWRÓT Z DANCINGU

Muzyka już nacichła niby brzęk szerszeni
i saksofon na chwilę zamarł w dusznej sali.
Już świt. Pomyśl. W lesistej, wysokiej przestrzeni
gdzieś tam za miastem w stromej i świerkowej dali
budzą się w tej godzinie wiwilgi i kosy
i strząsają ze skrzydeł niecierpliwie rosę.

A w mieście? Popatrz. Śpi wszystko. Tylko nad soborem
świeci jeszcze księżyca blado-złoty róg
i jacyś ludzie zgięci zamiatają bruk.

Gdzieś daleko zawiewać musi lepka woń sokory
i powietrzem z pewnością idzie rączy, ptasi stuk.

Pewnie sójka jak zwykle spóźnia się kapryśnie
i na śmigłem, czubatem drzewie sobie czeka
i błękitnawa, smutna w chórze długo zwleka —
zanim gardłowem, cienkiem piskotaniem tryśnie.

To sprawił chciwy dancing i jazzband łakomy,
że o tym świcie pełnym dziś lipcowej rosy
słuchałabym jak grają sójki, wiwilgi i kosy.
A tymczasem mijamy sobór i uśpione domy
i trzeba się pożegnać i trzeba się oddalić już za tym zakrętem,
chociaż powietrze pachnie przygodą, pocałunkiem i listeczkiem mięty,
chociaż przycichłam nagle i niby błękitnawa, smutna sójka czekam
i jak ona z piskotem, tak samo i ja długo z pożegnaniem zwlekam.

KAZIMIERA ALBERTI



XEGI MONUMENTUM...

Słuchaj, czy wiesz... Wydaje się to być do prawdy niepodobnem, a jednak tak jest... Skazano ją na śmierć... Bez odwołania... Bez apelacji... Sądem doraźnym... Jakgdyby to był czas najstraszliwszej wojny... Powiedziano tej co żyła wieki i nikomu szkodliwa nie była, iż ma umrzeć... Nie zawieszono jej w urzędowaniu, nie ograniczono w występach, — tylko zaraz — gilotyna. Wyszedł ukaz... Sam pan prefekt Chiappe go podpisał...

Jakgdyby nic... Jakgdyby to był rozkaz wydany przeciw jakiejś sztuce teatralnej, która, iż ją publiczność wygwizdała, okazała się — niemoralną. Jakgdyby to był na pierwszego sierpnia wyrok przeciw komunistom...

Ogłoszono, że jest hańbą nowoczesnego społeczeństwa, zakałą stołecznego miasta Paryża, zawalidrogą postępu, a nawet że sprzeciwia się najnowszym wymogom higjeny... Zabawne mówić o higjenie tu, gdzie produkta spożywcze leżą na ladzie, jak na ulicy, tu gdzie...

Ale co nas higjena obchodzić może, mój miły... Dość że jej już nie będzie...

Dość że jej już nie będzie, wędrownej paryskiej fuary, która z miejsca na miejsce się przenosiła, od wieków wyznaczoną miała tournée: we wrześniu na Raspailu, w maju w Neuilly. Na Boże Narodzenie i na święto narodowe, wzięcia Bastylji pamiątkę, wolno jej było być wszędzie.

Być wszędzie to znaczy obok najświetniejszych magazynów sprzedawać swoje rupiecie i mieć w arendzie ostatnie wynalazki: brzytwę, która ciebie nie zadraśnie, takie szkło powiększające, przez które żywą zobaczysz moją foto, jakbyś mnie miał zawsze przy sobie.

Być wszędzie, to znaczy nam, wielkim dzieciom, jakiemi dotąd pozostaliśmy, pokazać nasze dawne zabawki — w cudowny jakiś sposób powiększone!

Bez ujmy swej wielkości, mogłeś strzelać z fuzji „na niby” i swoją sławę Nemroda, na kujawskich zdobytą ziemiach, ugruntować w Paryżu. A ja zato dostawałam kilo cukru i jeszcze kilo cukru.

Potem jeździło się na lwach i tygrysach, które ryczały w tęsknocie za dalekiemi, dziewiczemi lasami. A sprężyny ćwierkały, jak świerszcz za kominem. Patrzyło się na siłaczy — moc ich główna polega na umiejętności gadania — i na tresowane pchełki, naprawdę bardzo mądre.

Fakir przepowiedział ci przyszłość świetną, a golibroda obiecał bez bólu wyrwać trzy zęby.

Biedna paryska fuara! Wesołe miasteczko poznańskie na niej się wzorowało, ale jej już niema! Ostatni ją raz widzieliśmy — Nie myśląc że to ostatni. Pewno tak dobrze... „I przy rozstaniu nie mów o rozstaniu...”

Już w żadną noc lipcową nie będziemy łazili po Bulwarach, włócząc się od kramu do kramu. Słuchać wrzaskliwej muzyki, w każdej budzie coś innego oglądać, w każdej budzie coś innego kupować!

Nigdzie na świecie nie znalazło się naraz tak wiele nagromadzonych słodyczy: Rouen przysyłało Cukier Lodowy, Vichy — „Kamyczki”, Quimper — „Koronkowe Naleśniki”, Cambrai — „Głupstewka”, Bretanja — „Galettes”, a Nugat przychodził z najbardziej miodnych łąk.

Kupiłeś mi laseczkę, żebym dobrze chodziła, piórko, żebym ładnie pisała, kupiłeś mi notesik dla zapamiętania twoich dobrych słów, i perfum flaszeczkę jedną i drugą.

Prócz tego kupiłeś mi tyle słodyczy! Choć mi z tobą zawsze tak bardzo słodko!

Dlaczego mi, mój miły, całej nie kupiłeś fuary? Nie byłaby umarła.

A jabym jej pomnika stawiać nie musiała...

MALIBRAN (Paryż)

WYRAFINOWANA ZŁOŚLIWOŚĆ

VI

MARTA DO ANDRZEJA

Panie Andrzeju, co winna osoba żywa, gdy ktoś ją chce w posąg zamienić? Postawić na piedestale, z którego przy lada okazji spaść może. Jeśli on sam jej nie strąci, bo godniejszej zechce wystawić pomnik...

Nie jestem Panią Martą z Pana wymarzonych godzin, ale jestem własną Martą z dobrych i złych swoich dni, ze słodkich czy niespokojnych nocy. Jestem, nie ulega to wątpliwości — wolnym człowiekiem — ale zarazem jestem — choćby to Pana bolało — „kobietką" i „osóbką". I może jeszcze czemś i jeszcze... Nikt nie jest z jednego ulepiony materjału, chyba, jak mówią, posągi. Ale od czasu występów Boya mamy chyba wstręt do wszelkich bronzowników, do wszelkiej mumifikacji. A człowiek żywy jest, jak nigdy, w należytej cenie i ocenie. Pewien, proszę uważać — wielki malarz francuski — malarz! — powiedział, że woli szemrzący strumyk od uśmiechu Jiocondy. I pewno! Twierdzę to nie w swojej tylko obronie, ale wszystko co jest sztuką, jest jednak zarazem sztucznem, a jedynie prawdą jest to co nieokreślone, nie zamknięte, nie posiada jeszcze ostatecznego kształtu.

Ja — w Pana podniosłych rojeniach — trochę zbronzowiałam — ja — pisząca największe niedorzeczności, której zarówno forma jak i treść listu zasługuje na naganę, — bo nadużywająca domyślników, bo nawet chwaląca się swemi wielbicielami! — jestem kobietą a chwilami jestem „kokietką". I cieszę się tem, choćby za cenę niepodobania się Panu!

Ale w takim razie powiedzieć też będę musiała — omyliłam się. Powiem to bez wzniosłego patosu, jaki list Pana cechuje, i bez takich niemiłych słówek, jak to że „kłamię", i bez jednego zdania, które mnie — „kobietkę" i „osóbkę" — mocno uraziło. Bo proszę sobie wyobrazić, że nie miałam na uwadze żadnego „płaskiego epizodziku"...

Gdyby mi się Pan przypadkiem bardzo podobał, to nie ukrywałabym swojej dla niego sympatji, w salonie — poza słówkami rzucanemi innym, w listach, poza „popisywaniem" się wielbicielami. I nie zadowoliłabym się szukaniem „płaskiego epizodziku". Proszę sobie wyobrazić, mam wstręt do wszystkiego co — płaskie! Nie bawiłabym się w żadną kokieterję, okrężnemi drogami nie szłabym do celu, ani zazdrości Jego nie starałabym się podniecać...

Gdyby przyszedł moment szczęścia — spełnienie którego jest od każdej żywej istoty niezależne — zarzuciłabym Mu ręce na szyję... Poprostu.

Nie wiem, czyby to Pana nie raziło. Myślę nawet, że tak. Ale trudno, byłby to tylko jeszcze jeden dowód, że i ja sobie Pana nieco inaczej wyobrażałam i że też mam skłonność do idealizacji.

Dzisiejsze moje względem Pana postępowanie — przy widzeniu czy listowne — to wynik tego, że — widocznie jest Pan dla mnie jedynie miłą towarzyską rozrywką, gimnastyką mózgu, „godziną sali" — jak mówił Płoszowski. Nic w mojem postępowaniu nie jest celowe, w tym sensie jak pan to rozumie — daję tylko *libre cour* swoim kaprysom i — bawię się. Powtarzam „bawię się" i to mi wystarcza. Gdyby było inaczej, nie podniecałabym Pańskiej wyobraźni — jak Pan to sobie pochlebia — opowiadaniem o moich wielbicielach — mówiłabym nie o nich, ale — jedynie o Panu. Mam tak szczęśliwą naturę, że przy mężczyźnie, który mi się podoba, zapominam o tych, którzy mi się poprzednio podobali. Nie już ze względów przyzwoitości czy delikatności, tylko z powodu *heureux don d'oublier...* Z pewnością, zamiast chwalić tamtych, nie wahałabym się powtarzać, że jest Pan miły i uroczy...

Znam jednego człowieka, który nie wiem już z jakich przyczyn — serca, zmysłów czy wyobraźni — bo to są trzy czynniki prawdziwej miłości — nie jest w stanie uczuć skupić na jednej istocie — i ma zwyczaj opowiadać każdej, która się za chwilową uważa wybrankę — o innych kobietach. Jakże to niesmaczne! A może to jest przywilej — smutny — ludzi bez temperamentu? To byłaby ważna dla psychologów kwestja do rozwiązania, w rozwiązanie której wdawać się tu nie mogę.

Stanowczo nietylko nie jest Pan dobrym znawcą dusz, ale nawet — mało uprzejmym człowiekiem. Sprowadza Pan — powiedzmy grzecznie — nieomal do śmieszności — mój list. Obracam się w kółko koło tego samego tematu... Czyli tematu moich zalet i wdzięków... Konsekwencją tego jest mówienie o wielbicielach... Ależ, drogi Panie, to jest wyrażenie radości, że odkrył Pan we mnie coś, co jest moją istotą, a jeśli jednocześnie jest to moją słabością — trudno. Należę do osób, które szczerze cieszyć się umieją — tak im to zawraca w główkach! Mówię znów zdrobniale, choć znów wywołam oburzenie. Zresztą to nie znaczy abym nie miała — głowy. Ale służy mi ona wyłącznie do myślenia o rzeczach ważnych, wielkich, może nawet kochanych. Do naszej korespondencji — nawpół żartem, nawpół serjo — główka wystarczy. Ta której zawrócić łatwo. I nic dziwnego, iż się potem kręci w kółko...

Drżę cała... Mam z Panem mówić jak człowiek wolny z wolnym... Wszyscy jesteśmy wolni i niewolnicy zarazem. Wolność — to jest jedna z tych pięknych teoryj — które niewiadomo do czego zastosować. Czy człowiek, gdy pragnie coś zdobyć, w dążeniu swem jest wolny? Czy człowiek, który kocha, w stosunku do kochanej jest wolny? Czy za każdem serca poruszeniem nie żywi obawy, że źle ono być może zrozumiane??? Wie Pan kiedy, i, jedynie, w swym czynie jest się swobodnym? Gdy w gruncie rzeczy mało się o coś dba. Jeśli będzie tak jak chcę — dobrze, trochę radości i wesela spadnie na mnie, jeśli nie — widocznie znaleźć je mam gdzie indziej.

Wydaje mi się, że wobec Pana jestem człowiekiem wolnym.

Ale dlaczego podejrzana jestem o sentymentalność, to już tego wcale nie rozumiem. *Marta*

OSTATNI PASJANS PANI KLEMENTYNY

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

Alojzowa ujęła przez fartuch lśniącą od kredy klamkę i ostrożnie uchyliła drzwi do pokoju:

— Proszę pani, to ja już ide.

Pani Klementyna, siedząca w głębokim fotelu przy piecu, zdawała się drzemać. Więc Alojzowa podeszła na palcach, przeraźliwie skrzypiąc świątecznemi trzewikami.

— Proszę pani, — powtórzyła — a to ja już pójde.

Pani Klementyna ocknęła się, prędko przesunęła zartretyzmowanemi palcami po wilgotnych powiekach i zagadała z uśmiechem do śpieszącej się widocznie grubej kobiety:

— Aha, Alojzowa już idzie. No dobrze, dobrze.

— Susz już wystudziłam, jest na salaterce, barszcz sie grzeje, rybe obtaczałam w monce, że tylko sobie pani położy na patelke...

Pani Klementyna uśmiecha się wciąż z pod czarnej odświętnej koronki:

— Dobrze, moja Alojzowo, dobrze.

Na opiekłej twarzy posługaczki pojawia się coś, jakby wahanie:

— Po pośniku może tu jeszcze do paniusi zalece sprzątnąć, abo co — mówi ociągając się.

Ale pani Klementyna przecząco porusza głową:

— Cóż znowu, Alojzowo. Nie trzeba. Poradzę sobie, tylko jutro z rana przyjdźcie napalić.

Alojzowa uspokaja się i rozjaśnia:

— Dziękuje pani. A względem palenia jużem szczypki naszykowała. Przyjde raniutko — obiecuje skwapliwie — kiedy sie paniusia ma wygrzać, jak nie w święta?

Śmieje się i całuje staruszkę w wełnianą mitenkę:

— Wszystkiego najlepszego.

— Daj nam Boże — odpowiada cicho pani Klementyna.

Za posługaczką zamknęły się drzwi.

W mieszkaniu zrobiło się nagle cicho.

Pani Klementyna siedziała przez chwilę bez ruchu — wydało jej się, że słyszy cienki głosik chłopaczka biegającego koło stołu.

— ...Ileż to już lat...

Wtem w kuchni zasyczał gaz, widocznie barszcz zagotował się powtórnie i kipi. Pani Klementyna wstała i przeszła do kuchni.

Osłoniwszy czarną, świąteczną suknię ścierką, zdjęła z ognia garnuszek z barszczem, rzuciła tłuszcz na patelkę i usmażyła rybę, uważnie odwracając widelcem każde dzwonko.

Z dymiącemi talerzami wróciła do pokoju. Stół już był dawno nakryty. Pani Klementyna zgasiła elektryczną lampę i zapaliła dwie świece w starym, źle oczyszczonym lichtarzu.

Jakaś zapóźniona dorożka przejechała szybko pod oknami.

I znowu cicho w mieszkaniu.

Pani Klementyna słyszy wyraźnie cieniutki śmiech chłopaczka gramolącego się na wysokie krzesło przy stole i — odsuwa talerz z napoczętą rybą. Natychmiast jednak przysuwa go zpowrotem i je dalej. Robi to z wysiłkiem, jak zadaną sobie ciężką robotę.

Przed talerzem pani Klementyny leży list od syna i synowej. Przez cienki, skąpo zapisany arkusik widać okruch opłatka...

Teraz za każdą suszoną śliwką pani Klementyna kiwa głową w stronę tego listu. Myśli, że właściwie powinna być zadowolona. Doprawdy, powinna się cieszyć: syn pamięta o niej. ...Kto wie, możeby nawet przyjechali, gdyby nie to, że synowa zległa przed samemi świętami. — Wnuczek! —



Pani Klementyna zmrużonemi oczami patrzy nieruchomo w tańczące po pokoju świece.

— Wnuczek!

Wystygła już krew ciepłym strumieniem napływa do zwapniałych żył, skostniałe ramiona zaokrąglają się w miękkie objęcie.

— ...Znów czuć przy sobie małe, jędrne ciałko, znów s ł y s z e ć szczebiot ptaszęcy i w przezroczystych, czystych, niebieskich oczach dziecka widzieć na nowo świat jasny i dobry, tak dobry i jasny jak wówczas, gdy żył Stefan a Zygmunt był niemowlęciem.

Pani Klementyna czuje na twarzy prędkie, ciepłe i mokre dotknięcia. Podniosła palce do oczu i ze zdziwieniem rozgniotła na rzęsach łzę...

— Czegóż to ja płaczę? — skarciła się surowo i zaraz przyszło jej na myśl, że może na wiosnę mogłaby ona pojechać tam do niej.

— Pojedzie, czy też nie pojedzie? Zobaczy wnuczka, czy też nie zobaczy?

Odsunęła talerze i z zażenowanym uśmiechem wyjęła z za poręczy fotela starą talję kart. Zmiótłszy ręką okruchy z obrusa, jęła z niejakim trudem sztywnemi palcami wykładać na stół karty.

Oto już leży przed panią Klementyną cała talja, cztery barwne rzędy po trzynaście kart. Z namysłem chwieje nad niemi staruszka odświętnym koronkowym stroikiem. Wyłożyła asy. Uśmiechnęła się pogodnie. Przekłada teraz karty według ich wartości i pomrukuje z zadowoleniem:

— Walet przy dziesiątce... ósemka przy siódemce...

Jest pełna dobrej nadziei, a wtem zasępia się: przy królach otwarły się wolne miejsca...

Nie, nie! Nie dawać się losowi!

Pani Klementyna z wysuniętą naprzód brodą, ze ściągniętemi brwiami zgarnia karty, tasuje, i po raz drugi kładzie:

— Szóstka przy piątce... dama przy walecie... przy królu... ach! przy królu znowu wolne miejsce.

Cóż to się miało spełnić? Cóż to się miało stać? Co sobie zamyśliła na początku? Już tego nie wie, już tego nie pamięta. Wie tylko, że pasjans powinien wyjść. Musi! Więc po raz trzeci wykłada karty.

Niewyraźnie jakoś widać młódki... czy to świece ciemno się palą? Drga płomień nierówny — poruszyły się króle...

...*„Któż pobieży kolędować Małemu?"* — pyta czyjś śpiewający głos za ścianą.

— Prawda, prawda, małego chciałam zobaczyć — przypomina z trudem pani Klementyna, a wtem spostrzega, że królów przed nią niema pośród kart. Znikli. Nie zastanawia się jednak, co się z nimi stało, bo oto lżej odetchnęło jej stare, skołatane serce: na uwolnionem przez króle miejscu można położyć teraz nową kartę i pasjans wyjdzie, wyjdzie na pewno!

Wyszedł.

Pani Klementyna z westchnieniem wielkiej ulgi spuściła głowę na piersi.

. . . .

. . . .

Drogą ku Betleem idą czterej królowie.

Wiatr ze śniegiem barwnemi płaszczami ich szarpie, trefione brody im rozwiewa.

Czterej królowie idą śpiesznie. W zgrabiałych dłoniach dary Dzieciątku niosą na kolędę:

Pierwszy idzie król Treflowy — niesie myśli samotnej kobiety.

Drugi idzie król Karowy — jej ciężki los w rękach swoich dźwiga.

Trzeci idzie król Kier — tuli umilkłe stare serce.

Czwarty idzie żałobny król Pikowy — puste ręce martwo skrzyżował na piersi...

EWA SZELBURG

MAY SINCLAIR

ANNA SEVERN I FIELDINGOWIE

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski Powieść, 10

Rozdział czwarty:

ROBERT

1.

Ale gdy jutro nastało, nie wycałował jej. Był zły na Annę za upór, z jakim trzymała się posępnych myśli o stanie zdrowia jego ojca.

Lekarze nie byli jednomyślni. Dr Ransome z Wyck twierdził, że to gastritis; dr Harper z Cheltenham twierdził, że to colitis. Miał to już dawniej i wydobrzał. Teraz zapadał coraz bardziej. W ostatnich trzech dniach jego żołądek nie mógł już znieść kurczęcia i ryby, a wczoraj — nawet mleka. Dziś — nawet wody z lodem. Zatem obaj orzekli, że to ostry gastritis.

— Nigdy nie było mu tak źle, Jerroldzie.

— Słusznie; lecz nie wynika stąd, by nie miał się poprawić. Chorzy na ostry gastritis poprawiają się także. Jak mu wszyscy będą gadali, że jest umierający, to z tego samego może skonać. I głupi to pomysł, sprowadzać Eliota.

Było to dzieło Anny.

Eliot napisał był do niej z Londynu:

„Ul. Welbeck 10

25 września 1910

„Moja droga Anno,

„Pragnąłbym, byś mi doniosła, jak się ojciec czuje „istotnie. Ty jedna masz tam jaką taką inteligencję. „Z pomiędzy matczynych zawodzeń a optymizmu Jer„rolda nie mogę dobadać się żadnej prawdy. Jeśli „rzecz jest poważna, przyjadę natychmiast.

„Zawsze twój

ELIOT"

Anna odpisała:

„Mój drogi Eliocie.

„Rzecz jest poważna. Dr Ransome i dr Harper „tak twierdzą. Uważają to teraz za ostry gastritis. „Chciałabym, żebyś przyjechał. Serce pęka patrzeć na „Jerrolda: nie chce widzieć, gdyż nie zdołałby tego „znieść, widząc. Wiem, że i ciocia potrzebuje ciebie.

„Zawsze bardzo serdecznie twoja

ANNA"

List ten zaadresowała do dr. Eliota Fieldinga, ponieważ Eliot zdał już egzaminy.

I w owo Jerroldowe „jutro" Eliot przyjechał. Jerrold mu oświadczył, iż jest on zupełnym idjotą; pędzić tak na złamanie karku, jakby ojcu zostało pół godziny życia!

— Wręcz przerazisz go — powiedział. — Nie sposób mu wyzdrowieć, gdy wy tak wszyscy kraczecie mu nad głową.

I w drodze protestu przeciw powszechnemu pesymizmowi wybrał się do Medlicote na turniej lawn-tennisowy. Zdawał się sądzić, że skoro on, Jerrold, może brać udział w turnieju tennisowym, tedy ojciec żadną miarą nie jest poważnie chory.

— To okropne ze strony Jerrolda — rzekła jego matka. — Zgoła go nie pojmuję. Uwielbia ojca, a tymczasem zachowuje się, jakby był wyzuty z uczuć.

Siedziały we dwójkę z Anną po rannej kawie, czekając, aż Eliot przyjdzie z pokoju ojca.

— Czyś ty mu nie mówiła, Aniu?

— Powiedziałam mu wszystko, co wiedziałam... Ale, moja złota ciociu, on nie jest z uczuć wyzuty. Postępuje tak, bo nie może znieść myśli, iż wuj Robert nie wyzdrowieje. Usiłuje wmówić sobie, że owszem wyzdrowieje. Chyba nawet wierzy w to. Gdyby zaś nie poszedł na ów turniej, wyglądałoby, że nie wierzy.

— Och, gdybym ja mogła ufać. Lecz powinnam. Muszę wierzyć, o ile nie mam zwarjować. Nie wiem, co pocznę, jeśli nie wyzdrowieje. Nie potrafię żyć bez niego. Aniu, to było tak doskonałe pożycie. To nie może w ten sposób się skończyć. To nie może się stać. Byłoby to zbyt okrutne.

— Tak jest — potaknęła Anna. Lecz pomyślała: „Owszem, to się stanie. Właśnie teraz to się staje".

— Oto Eliot — rzekła.

Eliot zszedł ze schodów; Adelina rzuciła się ku niemu:

— Och, Eliocie, no i cóż ty sądzisz?

Syn ją odsunął. — Nie mogę jeszcze orzec.

— Uważasz, że bardzo z nim źle?

— Bardzo.

— Lecz nie myślisz, że niema nadziei?

— Jeszcze nie wiem. Może jest nadzieja. Chce widzieć ciebie, mamo. Nie roz nawiaj z nim dużo i nie pozwalaj mu rozmawiać. I za nic w świecie nie daj mu się poruszyć.

Adelina poszła nagórę, Anna i Eliot zostali sami.

— Mnie możesz powiedzieć — oświadczyła. — Sądzisz, że niema żadnej nadziei.

— Tak sądzę. Jest mu jak najokropniej. Gorączka sięga stu trzech.

— To źle?

— Bardzo.

— Żałuję, że Jerry odjechał.

— Ja również.

— Dla niego, Eliocie, będzie to gorsze niż dla nas wszystkich.

— Wiem. Ale on zawsze był taki, odkąd mogę zapamiętać. Poprostu nie może znieść zgryzot. To jedyna rzecz, której się boi. Nie miałbym mu tego za złe, gdyby się przezwyciężał i stawiał czoło. Ale nie: on ucieka. Teraz także uciekł. Mów co chcesz, a jednak to rodzaj tchórzostwa.

— To jedyna jego wada.

— Wiem. Ale wada niemała, Aniu. I będzie musiał za nią płacić. Świat jest pełen po szyję cierpienia i wszelkiej grozy, i nie można obrócić się do tego plecami, jak to czyni Jerrold, bezkarnie. Ba, wszak on nie chce znieść nic, co choć trochę jest niemiłe. Nie słucha, gdy człowiek stara się mówić mu o tem. Nie będzie czytał książki, jeżeli powieść nie kończy się szczęśliwie. Nie pójdzie na sztukę, która nie jest komedją... Ja takiej postawy nie rozumiem. Nie bardziej od niego kocham się w okropnościach; ale skoro o nich słyszę, mam ochotę pójść tam i zobaczyć, czy nie da się na nie zaradzić. Dlatego też obrałem zawód lekarski.

— Tak jest. Bo ty nad tem tak cierpisz, tak mocno cierpisz. Lecz i Jerry cierpi także. Tak dalece, że znieść tego nie może.

— A jednak musi znieść. Cierpienie istnieje, Jerry musi się na to zgodzić. Jeszcze bardziej pogarsza sprawę dla siebie, kryjąc głowę w piasek. Nic dobrego z Jerrolda nie będzie, dopóki się nie przełamie. Dopóki nie nauczy się cierpieć okrutnie.

— Ja nie chcę, by cierpiał. Nie chcę. Nie mogę znieść myśli o jego cierpieniu.

— Trudno. Jerrold cierpieć musi.

— Uczyniłabym wszystko, by mu zaoszczędzić męki. Ale nie mogę.

— Nie możesz. I nie powinnaś nawet usiłować. Cierpienie byłoby najlepszą rzeczą, jaka może mu się przytrafić.

— O, nie; Jerry nie jest z tego gatunku.

— Owszem. Właśnie jest. Powtarzam: inaczej nic z niego nie będzie. Przecież nie pragniesz, by był moralnym inwalidą, co?

— Nie... Ocn, Eliocie, otóż i drzwi wuja Roberta.

Drzwi na górze otwarły się i zamknęły; u szczytu schodów ukazała się Adelina.

— Eliot, Eliot, chodź tu prędzej.

Eliot rzucił się nagórę. Anna usłyszała, jak ciotka łka histerycznie i woła:

— Nie mogę, nie mogę. Nie zdołam tego znieść!

Ujrzała ją idącą chwiejnym krokiem wzdłuż galerji do swego pokoju, usłyszała zamykanie drzwi na klucz. Wyglądało to zupełnie na ucieczkę od czegoś. Od czegoś, czego ścierpieć nie mogła. Dopiero po upływie pół godziny wrócił Eliot do Anny.

— Co to było? — zagadnęła.

— To, co przypuszczałem. Wrzód na żołądku. Miał krwotok.

Oto od czego uciekła ciocia Adelina.

— Słuchaj, Aniu. Muszę posłać Scarrotta bryczuszką po Ransoma. Później będzie musiał udać się do Cheltenham i przywieźć Colina.

— Colina?

A więc był to już koniec...

— Tak jest. Lepiej, żeby tu był. I chcę, byś coś zrobiła. Chcę, byś pojechała do Medlicote i sprowadziła napowrót Jerrolda. To dla ciebie straszne, lecz uczynisz to, prawda?

— Uczynię wszystko.

Była to rzecz najstraszniejsza, jaką kiedykolwiek kazano jej wykonać, jednak wykonała ją.

Z drogi, którą jechała do Medlicote, widać było plac tennisowy. Dostrzegła Jerrolda, grającego wśród męskiej drużyny. Stał koło siatki, odbijając piłkę; plecami zwrócony był do Anny.

Słyszała jego okrzyki. Słyszała jego śmiech. Widziała, jak się obrócił na jej wołanie i jak szedł ku niej poprzez plac.

Ujrzawszy Annę, zrozumiał.

2.

Czekał był dziesięć minut na galerji pode drzwiami ojca. Eliot zawołał Annę do pomocy, podczas gdy Jerrold stał przy drzwiach by nie wpuszczać matki. Nic tam po niej, oświadczył Eliot. Traci głowę wtedy właśnie, gdy trzeba co zrobić. W całym domu słychać było, jak chodzi i woła płaczliwie, że znieść tego nie może.

Uchyliła drzwi i wyjrzała. Zobaczywszy Jerrolda, poszła ku niemu wolno, opierając się na poręczy schodów. Oczy miała obolałe od płaczu, brzeżek jej ust okalało zaczerwienione zgrubienie.

— A więc wróciłeś — rzekła. — Mógłbyś wstąpić do ojca i powiedzieć mi, jak on się czuje.

— Nie widziałaś go, mamo?

— Oczywiście widziałam. Ale boję się, Jerroldzie. To było straszne, straszne, ten krwotok. Nie masz wyobrażenia, jakie straszne. Brak mi odwagi wejść tam i raz jeszcze to zobaczyć. Zresztą nie mielibyście ze mnie żadnej pociechy. Poprostu zemdlałabym, lub zachorowała, lub coś takiego. Literalnie znieść tego nie mogę.

— Nie powinnaś tam wchodzić — powiedział.

— Kto jest z nim?

— Eliot i Anna.

— Anna?

— Tak.

— Jerry! pomyśleć, że Anna jest tam, przy nim, a ja tutaj.

— Ha, jej się nic nie stanie. Ona ma dosyć siły.

— No tak, jej łatwo! Wszak to nie j e j mąż.

— Lepiej, mamo, idź sobie stąd.

— Pójdę dopiero, kiedy się dowiem czegoś o nim. Idź, Jerrold.

Zapukał i wszedł.

Ojciec siedział w swem wąskiem, białem łóżku, wsparty na ramieniu Eliota. Zobaczył jego twarz, zbiedzoną i wychudzoną cierpieniem, szaro-białą na tle poduszek, jego zapadłe usta, ostry, szczupły nos, stalowo siwe włosy, uperlone potem, spływającym aż na czoło. Twarz znużenie, żałośnie cierpliwą i oczekującą. Zobaczył oblicze Eliota tuż, tuż przy skraju poduszki — poważną — zasępioną, pilną.

Anna szła przez pokój od łóżka do umywalki. Twarz miała bardzo białą, lecz o wyrazie wielce ześrodkowanym i spokojnym. Niosła pobielaną miednicę, poplamioną jakąś czerwoną cieczą. Dostrzegł drobne czerwone plamki na rękawie jej białej płóciennej sukienki. Wzdrygnął się.

Eliot uczynił mu znak. Wrócił do drzwi, za któremi czekała matka.

— Czy mu lepiej? — szepnęła. — Czy mogę wejść?

Jerrold potrząsnął głową:

— Lepiej nie... narazie.

— Przyślecie po mnie, jeżeli — — jeżeli — —

— Tak.

Usłyszał ją oddalającą się wzdłuż galerji. Wrócił do pokoju. Stanął u stóp łóżka i wpatrywał się, wpatrywał w ojca leżącego w ramionach Eliota. Chciałby być na miejscu Eliota, blisko, bliziutko ojca, i podtrzymywać go. A tak nic nie mógł zrobić, jeno stać i patrzeć tym bezradnym, udręczonym wzrokiem. M u s i a ł patrzeć na niego, patrzeć i patrzeć, karząc siebie tym widokiem za to, że go tu dotąd nie było.

Oczy go piekły i bolały; napełniały się łzami, osuszały je swą gorączką i piekły na nowo. Ręką trzymał się kurczowo poręczy łóżka, jakby tylko w ten sposób mógł się powstrzymać od ucieczki.

Przez okno wpadła struga ciepłego powietrza. Wszystko w pokoju stanęło w tem powietrzu cicho, nienaturalnie cicho, oczekując. Jerrold rozglądał deseń na

firankach okien: sine papugi na bronzowych gałęziach wśród czerwonych kwiatów na białem tle. Wszystko to wisiało bardzo sztywno i nieruchomo, czekając.

Anna spojrzała na niego i przemówiła. Stała teraz poza łóżkiem, trzymając wpogotowiu czystą miednicę i ręcznik.

— Jerry, możebyś poszedł i przyniósł jeszcze lodu. Znajdziesz go w wiedrze w łazience. Połam go na drobniutkie kawałki. Albo pokrusz sztućcem.

Poszedł do łazienki, poruszając się jak lunatyk, otulony koszmarną grozą. Znalazł lód, pokruszył go drobniutko, jak kazała. Czynił to bardzo skrzętnie i sumiennie, wdzięczny Annie, że go czemś zatrudniła. Potem wrócił i stanął jak poprzednio za łóżkiem, czekając. Ojciec w dalszym ciągu odchylał się na poduszki wsparty na Eliocie. Ręce miał skrzyżowane na piersi ponad kołdrami.

Anna zaś w dalszym ciągu stała przy łóżku, trzymając wpogotowiu miednicę i ręcznik. Od czasu do czasu dawali choremu drobne ułamki lodu do smoktania.

W pewnej chwili otworzył oczy, rozejrzał się po izbie:

— Czy matka tutaj?

— Chcesz ją widzieć, ojcze? — rzekł Eliot.

— Nie. Toby ją tylko wzburzyło. Nie pozwólcie jej wejść.

Zamknął oczy i znów je otworzył.

— Czy to Anna?

— Tak. A myślałeś, że kto?

— Nie wiem... Przepraszam cię. Aniu.

— „Kochany...” Słowo to wydzieliło się z tkliwego, niewyraźnego jej jęku.

Po chwili:

— Jerroldzie — rzekł Robert.

Jerrold podszedł bliżej. Prawe ramię ojca podniosło się i wyciągnęło ku niemu poprzez łóżko.

Anna szepnęła: „Uściśnij mu rękę”. Uścisnął. Czuł jej drżenie w tym uścisku.

— Dobrze już, dobrze, Jerry — wyszemrał ojciec. Odkaszlnął cicho, dławiąco. Źrenice pociemniały mu nagłym niepokojem, obawą. Ręka obluźniła się, głowa opadła naprzód. Anna stanęła pomiędzy ojcem a synem. Jerrold uczuł, jak ona go lekko usuwa naporem swego ciała. Ujrzał jej wyciągnięte ramiona, połysk białej miednicy, a potem — krwotok, wytrysk po wytrysku. Potem ojcowską twarz wspartą na ramieniu Eliota, bardzo białą, i Annę pochyloną nad nim czule i jej dłoń z ręcznikiem, ocierającą białą pianę z ust jego.

Następnie oczy zaszkliły się wśród półotwartych powiek, usta się otwarły w śmiertelnem rzężeniu.

Eliot złożył swe brzemię, powstał, oparł rękę na ramieniu Jerrolda i wyprowadził go z pokoju.

— Wyjdź na powietrze. Ja sam powiem mamie.

Jerrold słaniając się zeszedł ze schodów, minął przedsionek i wstąpił w oślepiający blask słońca.

Zdaleka na gościńcu słyszał turkot bryczki, wracającej z Cheltenham; szeregi buków rozwierały się jak wachlarz, by ją przepuścić. Zobaczył Colina siedzącego obok Scarrotta.

Gdzieś wgórze okiennica zgrzytnęła. Ktoś szedł poprzez pokoje frontowe, zamykając okna i spuszczając żaluzje.

Jerrold wrócił do domu, by tam powitać Colina.

Na piętrze otwarły się i cicho zamknęły drzwi ojcowskiego pokoju; wyszła z nich Anna. Prześliznęła się wzdłuż poręczy do swego pokoju. W ciemnem przejściu dostrzegł jej białą sukienkę, jej rękę zwisającą i drobne czerwone plamki rozsiane na białym jej rękawie.

3.

Jerrold czuł lęk przed Anną i ani przewidywał, kiedy się to skończy. Jakaś moc cisnęła go w sam środek cierpienia, które zawsze starał się odpychać od siebie, i ten wstrząs zabił w nim błyskawicznie jego młodziutką namiętność. Anna będzie na zawsze skojarzona z tem cierpieniem. Nigdy nie będzie mógł widzieć jej bez myśli o zgonie ojca. Nigdy nie będzie myślał o zgonie ojca bez łączności z Anną. Wiecznie będzie ją oglądał poprzez atmosferę bólu i grozy, poruszającą się tak, jak się poruszała w ojcowskim pokoju. Inaczej nie będzie mógł jej widzieć. To nieznośne wspomnienie zatarło wszelkie inne: wspomnienie Ani-dziecka z królikiem na ręku, wspomnienie młodej, szczęśliwej Anny, która się z nim przechadzała, jeździła i bawiła się, wspomnienie dziwnej, tajemniczej Anny, którą wczoraj wieczorem zastał leżącą w łóżku. Ta Anna należy do czasu, który się dla niego skończył. Nic mu nie pozostało, jeno ta Anna, co mu przyszła oznajmić, iż ojciec kona, co go przywiozła do ojcowskiego łoża śmiertelnego, co się nierozłącznie związała z tego ojca śmiercią, co po ojcowskim zgonie zniknęła na jakiś czas poto tylko, by się niebawem ukazać w czerni, z kwiatami w ręku — na pogrzebie.

Cała była osnuta śmiercią i śmiercią, tylko śmiercią i Jerroldowem cierpieniem. Ilekroć ją ujrzy, będzie cierpiał na nowo. A że zawsze unikał cierpienia, więc teraz unikał Anny. Odwracał oczy, gdy widział ją zbliżającą się. Mówiąc do niej nie patrzył na nią. Usiłował nie myśleć o niej. Odjechawszy, będzie się starał o niej nie pamiętać.

Jedyną jego myślą było oddalić się, wydostać z tego miejsca gdzie ojciec umarł, z pośród tych ludzi co śmierć jego oglądali. Chciało mu się nowych nieznanych twarzy, nowych nieznanych głosów, któreby mu nie przypominały...

W dziesięć dni po zgonie ojca nadszedł list od Jana Severna. Pisał:

„...Jestem uszczęśliwiony z Sir Karola Durhama. Masz, mój chłopcze, szczęście! Jak Sir Karol poweźmie do kogo sympatję, to ten, chcąc nie chcąc, musi zrobić karjerę. Zresztą wiem, że się nie boisz ciężkiej pracy, a mogę cię upewnić, że my tu dajemy naszym urzędnikom wszystko czego im potrzeba i sporo ponadto.

„Ślicznieby było, gdybyś przywiózł ze sobą Anię. O ile będziecie stacjonowani gdzieś niedaleko od nas, to już we dwuch potrafimy zabawić ją co się zowie i umilić jej życie.”

— Ale, Jerroldzie, — rzekła Adelina przeczytawszy ten list — przecież nie pojedziesz t e r a z. Zadepeszuj mu o tem.

— Czemu nie teraz?

— Dlatego, mój kochany, że został ci majątek, więc masz tu siedzieć i doglądać go.

— Doglądnie go Barker. Od tego jest on tu.

— Pleciesz, Jerroldzie. Niema najmniejszej racji, byś jechał do Indyj.

— Jest racja. Muszę jechać.

— Nie musisz. Są wszelkie racje, żebyś tutaj został. Eliot wyjedzie za granicę, jeżeli Sir Martin Crozier weźmie go. O ile zaś Colin wstąpi do służby dyplomatycznej, to Bóg raczy wiedzieć, gdzie go mogą wysłać.

— Nigdzie go nie wyślą w najbliższych czterech latach.

— Zgoda. Ale przez połowę czasu będzie w Cheltenham lub Cambridge. A ja muszę mieć syna w domu.

— Bardzo mi przykro, mamo. Ale nie mogę zostać. Mam jechać i pojadę.

Na wszystkie jej przekładania i błagania miał jedną tylko odpowiedź: musi jechać i pojedzie.

Adelina dała mu pokój i poszła szukać Eliota, którego zastała w jego pokoju, pakującego rzeczy w drogę do Londynu.

(C. d. n.)

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

BARDZO PRZYJEMNA KSIĄŻKA. — Naprawdę trzeba było, aby ktoś przypomniał Polsce, że ten nasz poczciwy stary Lwów, dawna stolica „Galicji i Lodomerji", to znów nie takie bardzo podłe miasto, jakie dziś koniecznie chcą z niego zrobić ludzie, nie widzący świata poza Warszawą.

Trzeba było przypomnieć, że Lwów, choć dzisiaj skromny i zepchnięty na szary koniec, był zawsze, przez długie wieki, prawdziwą ostoją polskości, nawet w okresie najcięższej niewoli, że ów gród nadpełtwiański był prawdziwą pepinierą wielkich talentów w każdej dziedzinie życia politycznego, społecznego czy kulturalnego.

Fredro, Mochnacki, Korzeniowski, J. N. Kamiński, Pol, Smolka, Gołuchowski, Lam, Szajnocha, Grottger, Jul. Kossak, Rejchan, — cała ta plejada wielkich imion związana jest nierozłącznie ze Lwowem. A jakaż przedziwna musiała być atmosfera tego miasta, skoro importowany tu z Austrji stan urzędniczy, zakamieniali Niemcy czy Czesi, już w drugiem pokoleniu obdarzali społeczeństwo polskie takiemi jednostkami, jak Wincenty Pol, syn c. k. starosty Vincenza Pohla, jak Karol Szajnocha, którego ojciec Venzel Shejnoha Vtelencky piastował dostojny urząd k. k. Mandatara! Toż i Smolka i Lam i dr Dietl, odkrywca Krynicy, i Ludwik Nabielak i malarz Szlegel, i tylu, tylu innych, dobrze dla Polski zasłużonych, wszyscy oni wywodzili się z kasty najwierniejszych czarno-żółtych cesarskich urzędników!

Więc słusznie przypomina to wszystko Stanisław Wasylewski w swej ostatniej pracy *„Bardzo przyjemne miasto"*, która, — nie wątpię ani na chwilę, — zajmie poczesne miejsce w saloniku czy buduarze każdej kobiety.

Bardzo przyjemna książka! — chciałoby się sparafrazować słowa autora. A jak chytrze, jak perfidnie napisana! Oh — niby to sobie dwanaście luźnych szkiców, których same tytuły zaciekawiają i zmuszają do przeczytania od deski do deski tego blisko 300-stronicowego dzieła.

Rzekłbyś: bezpretensjonalne, znakomite obrazki rodzajowe, wycyzelowane pieczołowicie piórem nietylko wytwornego artysty-pisarza, ale i znakomitego znawcy przedmiotu.

Ale obrazki te łączy jedna myśl przewodnia: poza wartością anegdotyczną tych szkiców autor dąży do sprecyzowania całości obrazu historycznego Lwowa XIX wieku. Że zaś umie te rzeczy robić z mistrzowską perfidją, — tedy zaciekawiona czytelniczka ani się opatrzy, kiedy pochłonie całą książkę... I wówczas dopiero uprzytomni sobie, że autor miał na celu nie samo tylko naszkicowanie, świetnych coprawda, obrazków obyczajowych z przeszłości Lwowa, ale chciał równocześnie wzbudzić szacunek i miłość dla tego miasta u tych, którzy je znają tylko powierzchownie lub nie znają zupełnie, — a ugruntować miłość i przywiązanie do niego w sercach jego stałych mieszkańców.

Jak zawsze u Wasylewskiego, gruntowna erudycja łączy się tu ze stylem lekkim, potoczystym, któremu nie są obce ani zdrowy niefrasobliwy humor, ani łezka sentymentu, ani silne akcenty dramatyczne, gdy zajdzie tego potrzeba.

Do prawdziwych perełek zaliczyć wypada opowieść o „Bogatej pani z góry św. Jura", o cygańskim żywocie ojca lwowskiego teatru, Jana Nepomucena Kamińskiego, o Leszku Dunin-Borkowskim, owym „mocarzu słowa, a niemowlęciu czynu"...

Zręcznem i miłem zakończeniem tego cyklu są urywki z notatnika z roku 1920: „Gdy kraj był cały na rumaku, w polu"...

Tym ostatnim akordem zamyka się ta bardzo przyjemna książka, napisana na chwałę Lwowa, owego miasta, które jest jak łuk: dopiero w napięciu siłę swą okazuje.

Bardzo przyjemna książka.

To też my, Lwowianie, czekamy z tem większem zainteresowaniem dalszego jej ciągu, zapowiedzianego pod tytułem: *„Cuda Polski: Lwów"*.

KAZIMIERZ RYCHŁOWSKI

WŁODZIMIERZ LEWIK: „Moje prowincjałki". Wydawnictwo Kasyna i Koła Literacko-Artystycznego we Lwowie. I. 54 str.

Przyznaję się (bez skruchy) do „wstecznictwa"; w poezji szukam przedewszystkiem — harmonijnego wzruszenia. Dlatego prawie utożsamiam poezję z liryką; inne zaś jej rodzaje o tyle przemawiają do mnie, o ile zabarwione są liryzmem. Nie jest to czułostkowość, tylko przemyślone rozgraniczenie zakresów: w filozofji szukam prawdy, w religji dobra, w sztuce piękna. Dam parę określeń: Ład — to celowość zrozumiana (przedmiotowa); Piękno — to celowość odczuta (podmiotowa); Sztuka — to przeorywanie uczucia świadomością. Poezja jest twórcza, a więc jest naprawdę sobą, gdyż z nieskończenie rozlewnego żywiołu uczucia wyrywa nagłym błyskiem świadomości jakiś moment uznany przez się za szczególniej znaczący, wyodrębnia go, niejako skrzepia, i przez to nadaje mu indywidualną trwałość. Tylko tym sposobem iścizna tak rdzennie pierwiastkowa i prosta, jaką jest uczucie, wogóle może się wzbogacać.

Materjałem poezji jest więc wzruszenie, jej treścią — wzruszenie uświadomione, jej formą — harmonijne zespolenie materjału z wyrazem. To ostatnie, jako odpowiadające celowości podmiotowej, żadną miarą objektywnie ująć się nie da i ulega ustawicznym zmianom, zależnie od epoki, indywidualności twórców i t. d.

Zgóry więc skazanemi na zagładę wydają mi się te wszystkie — tak dziś modne — kierunki, których hasłem jest wyrugowanie wzruszenia z poezji. Kształty mogą się urozmaicać w nieskończoność; ale zasadniczemi wątkami pozostanie zawsze ta najgłębiej emocjonalna czwórca: miłość, Bóg, przyroda, ojczyzna. Kolejnictwo, inżynier, asfalt i związki zawodowe na długo poezji nie wystarczą.

...ale pisać nie mogę o huczących miastach, wyznaje Włodzimierz Lewik;

i zawsze już tak będzie: sercem w ziemię wzrastam
i słowa moje kwitną niebiesko, jak chabry
i tylko wieczorami modlę się cichaczem
by Bóg tej niebieskości mym słowom nie odjął
żeby nigdy w mych wierszach nie grały inaczej
jak tylko pamiętanych dni litą melodją
żeby kwitły jak ogród, wiosenno-jabłonnie
jak szczęście w koniczynie, jak bzu zapach miękki
i tak bardzo serdecznie, jak te pelargonje
za oknem złoto-niebieskiej panienki.

I wszystko, co nam poeta mówi w tym niegadatliwym tomiku, przepojone jest tem sielskiem i bardzo polskiem wzruszeniem — na szczęście bez cienia ckliwej łezki. Powie kto: anemiczna poezja wspomnień, brak żywotnej aktualności? — Ach! czy ta przymusowa „współczesność" nie jest jednym z wielu fetyszów dzisiejszych? Teraźniejszość — to wszak zawsze nieuchwytna chwila tylko; i czy ją poeta utrwalił w pięć minut, w pięć czy pięćdziesiąt lat po zapadnięciu się jej w przeszłość — takież to bardzo ważne? Niech ją tylko utrwali nieanemicznie, a będzie nam zawsze żywą i teraźniejszą.

Ileż takich twórczych utrwaleń w tym zbiorku!

...A przed nami znów jasna wigilja
i kolędy cichutkie — i krewkie
tylko dziś już nie trzeba się schylać
bo nic dla nas nie będzie pod drzewkiem.

(Przypomniane wigilje)

Ścieżka
pogwarzy z parkanem
co z zielnej gęstwy szczerbaty jeży
że jest szczęśliwszy — że bywa mu danem
wgnieść łeb kościsty w ciepłe piersi pierzyn...

(Boczna uliczka)

...a w bramach ludzie — ot, prosta ciekawość
czy ona łka naprawdę, czy słania się słaba
czemu ksiądz się zamyślił?... powoli — na prawo
cmentarz — i niecierpliwie czekający grabarz.

(Pogrzeb)

...wreszcie pod karczmą, gromadą — hej — w rowie
urodni, krzepcy po wsi letnich lekach
krasnej młodości wychylimy zdrowie
litrowym garncem dostałego mleka.

(Szalona eskapada)

A ileż myśli nasuwa takie mimochodem rzucone stwierdzenie:

hej! jazda! prostym, drabiniastym wozem
na wieś — bo w mieście nie czuje się Polski

Chętnie przepisałbym tu w całości „Bal w miasteczku", „Boczną uliczkę", „Pogrzeb", kilka innych.

Rytmika p. Lewika — prawie ściśle tradycyjna (za co ja osobiście jestem mu wdzięczny), nie unikająca nawet regularnych anapestów. Piękne jego assonanse przeważnie polegają na identyczności tej części wyrazów, która się rozciąga od akcentowanej samogłoski aż do ostatniej samogłoski; od rymów pełnych różnią się więc głównie tem, że nie biorą pod uwagę końcowych spółgłosek: żandarm — sztandar, komitet — kwitem, ciastek — miastem i t. p. Niekiedy jaskrawa alliteracja: „**G**dy z**g**arnął w **gr**ób z **gr**uchotem **g**łuchym **gr**abarz **gr**udę".

Niczem nie uzasadnione wydaje mi się pomijanie wielkich liter oraz znaków przestankowych w tym bardzo ładnym i ciekawym zbiorku.

CZESŁAW JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI

CZEGO PRAGNIE KAŻDE DZIECKO

Higjena ducha jest zupełnie nową gałęzią wiedzy, która rozwinęła się w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Niema dziecka, któreby już z natury swej było podstępne, nerwowe, złośliwe czy samolubne. Wszystkie te wady charakteru nie są wrodzone, lecz nabyte, — a dzisiejsza psychologja dochodzi do wniosku, że dziecko dlatego tylko staje się nerwowem i samolubnem, gdyż doszło do przekonania, że z tem mu będzie dobrze. Koledzy jego, a jeszcze bardziej właśni jego rodzice uczą go, że człowiek posiadający takie właściwości najłatwiej dochodzi zawsze do celu. Oczywiście dziecku nie trzeba tego dwa razy powtarzać.

Pewnego razu w klubie kobiecym, którego członkinie, kobiety o wcale nieprzeciętnej inteligencji, interesowały się żywo zagadnieniem najodpowiedniejszego wychowania dzieci, — mówiłem o kardynalnych zasadach takiego wychowania i o higjenie ducha. W pierwszej linji zwracałem z całym naciskiem uwagę, że nie powinno się nigdy w obecności dziecka mówić o jego wadach.

Po skończonym odczycie zetknąłem się z jedną z pań, należących do tego klubu, matką dwojga dzieci: ośmioletniego Janka i pięcioletniej Basi. Matka martwiła się specjalnie o swego Janka, który — jak mi mówiła — nie robi żadnych postępów w nauce i wogóle rokuje wcale nienajlepsze widoki na przyszłość. Kiedy następnie znaleźliśmy się w obecności tych dwojga dzieci, — matka zaczęła odrazu mówić temi mniej więcej słowy:

— „Oto jest moja Basia. Miłe, posłuszne dziecko, — jedna z najlepszych uczennic w klasie. Wszyscy ją bardzo lubią, ma dużo przyjaciół. Janek jest zupełnie inny; poprostu nie rozumiem tego chłopca. Źle się uczy, przytem nieposłuszny. Próżniak, — do niczego."

I to wszystko zaraz po moim odczycie, w którym rozwodziłem się właśnie szeroko na ten temat!

Może więc przydadzą się na co te moje krótkie uwagi, dotyczące czynników wpływających na rozwój umysłowy dziecka.

Wchodzą tu w grę trzy zasadnicze czynniki. Każde dziecko potrzebuje miłości, każde wymaga, aby je szanowano, każde też pragnie, by się liczono z jego zdaniem. Każde normalne dziecko pragnie tych trzech rzeczy i stara się je zdobyć, — o ile można mówić o jakiemś planowem postępowaniu u dziecka.

Pragnienia te można spełnić w dwojaki sposób: albo w rzeczywistości, albo we fantazji.

Każde dziecko spragnione jest miłości i doznaje jej też rzeczywiście, — przyczem naturalnie przedewszystkiem wchodzi w rachubę własne ognisko domowe i rodzice. Dajmy na to, że mały Zbyszek pozbawiony jest w domu miłości rodzicielskiej, — to wówczas będzie jej szukał poza domem, u obcych. Nie pozostaje mu nic innego do zrobienia, — choćby nawet wskutek tego podpadł pod złe wpływy osób postronnych. Ale może ów Zbyszek należy do tego typu dzieci, które nie są zdolne obudzić do siebie miłości. Lub może trzymany jest w domu tak krótko, że nie ma możności stykać się ze światem zewnętrznym. Wtedy zawsze jeszcze pozostaje mu drugie wyjście. Każde dziecko może się zamknąć w swoim własnym fantastycznym światku, gdzie czuje się zupełnie bezpiecznem. Może snuć dowoli swe marzenia i w ten sposób czynić zadość swym pragnieniom. Nikt nie zdoła zburzyć tych jego zamków na lodzie. Więc Zbyszek może wyobrażać sobie, że jest zaczarowanym księciem, pieszczonym i kochanym przez rodziców. Jeżeli nie ma się z kim bawić, stwarza sobie we fantazji towarzyszów zabaw. Wszyscy przecież wiemy, że są dzieci które całemi godzinami potrafią bawić się z urojonymi kolegami. W ten sposób tedy dziecko potrafi zaspokoić swą tęsknotę za miłością, — czy to w rzeczywistości, czy we fantazji. Toż samo dotyczy jego pragnień co do zapewnienia dla siebie szacunku i wpływu.

Te trzy czynniki zatem zdają się być decydujące przy wyrobieniu i uformowaniu charakteru dziecka. Zbytecznem jednak byłoby chyba nadmieniać, że każdy z tych czynników może się stać łatwo obosiecznym mieczem. Dziecko nie zna właściwego umiaru, jest bezkrytyczne. Uważa, że każde jego życzenie powinno być stanowczo spełnione. Dziecku należy się miłość, we właściwej, normalnej mierze; — ale jeżeli tylko nadarzy się do tego sposobność, dziecko przyjmie chętnie i dużo więcej. W ten sposób rozwija się w niem wybujałe pragnienie miłości, a dziecko będzie się oczywiście starało o to, aby każde jego życzenie zostało bezwarunkowo spełnione.

Tak samo powinno się okazywać dziecku pewien umiarkowany szacunek i zainteresowanie niem. Jeżeli jednak dziecko dąży do tego, aby wszyscy stale się niem zajmowali, — może bardzo łatwo zmienić się w małego tyrana dla całego domu.

Jest jednak jeszcze i czwarty czynnik, odgrywający doniosłą rolę w ukształtowaniu się charakteru dziecka. Jest to jego bezkrytyczność, z jaką przyjmuje wszelkie rady i propozycje. Z reguły dziecko stosuje się do udzielanych mu wskazówek. Jeżeli rodzice uczą je, aby zawsze mówiło prawdę i sami w tym kierunku świecą przykładem, dziecko wyrośnie na człowieka prawego i miłującego prawdę. Natomiast skoro się mówi dziecku, że jest głupie, nerwowe, tchórzliwe i t. p., — wówczas przekracza się kardynalne zasady wychowania umysłowego.

Te cztery zasadnicze czynniki powinniśmy zawsze mieć na oku, wychowując dzieci, — a właściwe ich stosowanie niewątpliwie przyniesie nam pożytek.

Mimo to jednak chciałbym dać tu jeszcze kilka najprostszych wskazówek: Przedewszystkiem powinniśmy sobie uprzytomnić, że każde dziecko, od najmłodszych lat aż do chwili dojrzenia, podlega łatwo wszelkim wrażeniom. Jak my sami je oceniamy, — tak też i ono sądzić będzie o sobie. Jeżeli dziecku zdaje się, że uważamy je za tchórza, — będzie się stosownie do tego zachowywać. Jeżeli wmawiać będziemy w Zbyszka, że jest nerwowy, nie długo trzeba będzie czekać na objawy rzeczywistej nerwowości. Natomiast jeżeli mu będziemy ciągle powtarzać, że jest zdrowym, zahartowanym chłopcem, że lubi sporty i t. p., — dziecko stanie się wkrótce rzeczywiście takiem, jakiem je widzieć chcemy.

Przedewszystkiem jednak powinniśmy być bardzo ostrożni, aby dziecka niesłusznie i niepotrzebnie nie zawstydzać. Celem naszym powinno być pobudzenie ambicji dziecka i nakłonienie go w ten sposób do wydatniejszej pracy. Nigdy jednak nie powinno się ograniczać na naganie czysto negatywnej, — lecz przeciwnie podawać ją we formie pozytywnej. Można np. powiedzieć dziecku, że zawsze dotąd było takie silne i zdrowe, to też dziwi nas to bardzo, że obecnie tak się zmieniło. Zawsze byliśmy przekonani, że Zbyszek jest dzielnym sportowcem, — czemuż on zatem siedzi teraz ustawicznie w domu i bawi się głupstwami? Dbajmy przedewszystkiem o to, by dziecka nie zawstydzać. Uwierzy ono temu, co mu powiemy, — dlatego powinniśmy mówić mu tylko to, w co chcemy, aby wierzyło.

Następnie dziecko każde stara się o zdobycie sobie towarzyskiego uznania, — co właśnie daje rodzicom najlepszą sposobność do wywarcia odpowiedniego wpływu na kształtowanie się charakteru dziecka. Musi się w nie wpoić przekonanie, że miłość i poważanie ogólne najpewniej ten zdobywa, kto żyje w myśl zasad i ideałów dzisiejszego świata. Miłość powinna być nagrodą za dobre sprawowanie się. Szacunek powinno się okazywać każdemu dziecku, o ile działalność jego jest pożyteczna i chwalebna.

Dzieci histeryczne najlepiej można wyleczyć w ten sposób, że się na nie zupełnie nie zwraca uwagi. Pamiętajmy przedewszystkiem o tem, że każde dziecko chciałoby chętnie przewodzić, rządzić się i rozkazywać innym. A to niejednemu na złe wychodzi. Jest nonsensem zachęcać dziecko nie utalentowane, aby w szkole starało się dorównać innemu, genjalnemu rówieśnikowi. Wówczas dziecko traci zaufanie we własne siły i poczucie własnej godności. Dla utrzymania tegoż będzie próbowało w jakikolwiek sposób zwrócić na siebie uwagę ogółu. Większość młodocianych przestępców wytwarza się właśnie w ten sposób, pod wpływem wyżej przytoczonych motywów.

Musimy pamiętać o tem, że możliwości intelektualnego rozwoju dziecka ograniczone są w mniejszym lub większym stopniu prawem dziedziczności. Toż samo da się zastosować i do fizycznego rozwoju dziecka, — natomiast w żadnym razie prawo dziedziczności nie odnosi się do rozwoju moralnego.

Ukształtowanie charakteru dziecka spoczywa przeważnie w rękach ludzi dojrzałych. Nie potrafimy zrobić z dziecka jakiegoś Szekspira czy Goethego lub nawet Dempseya — ale możemy wychować je na porządnych obywateli i pożytecznych członków społeczeństwa. A jeżeli chcemy ten cel osiągnąć, starajmy się o to, by dziecko nie zatraciło poczucia własnej godności. Powinniśmy przytem wybrać tę najpewniejszą drogę: złotego środka. Trzeba uświadomić sobie granice możliwości rozwoju i zdolności dziecka, starać się o równomierne kształcenie ducha i ciała, — a jeżeli dostrzeżemy jakiś specjalny talent, winno go się odpowiednio kształcić. Najlepszą metodą przytem jest sugestja.

Wreszcie i z tem się liczyć trzeba, że dzieci różnią się między sobą znacznie, zarówno pod względem fizycznym jak i intelektualnym. Charakter jednak dziecka wyrabia się pod wpływem otoczenia. Dlatego nie powinniśmy wymagać od dzieci rzeczy niemożliwych i nierozsądnych, lecz formować je stopniowo, powoli, odpowiednio do ich zdolności i talentu.

G. H. ESTABROOKS

ROZMYŚLANIA

Z powodu artykułu „O kulturę ciszy” otrzymała redakcja kilka dziękczynnych listów i uważa za wskazane przytoczyć wyjątki z jednego z nich, jako z najcenniejszego i najtrafniej ujmującego różne bolączki życia społecznego:

„Zupełnie zgadzam się z tem, że „druga kategorja winowajców, to społeczeństwo samo. Ileż my mamy osobników, w sferze t. zw. inteligentnej, niedyscyplinowanych, źle wychowanych, upartych, nie stosujących się do rozporządzeń, nie zważających na nic i na nikogo”. Nie daleko szukając, bo we Lwowie, w pewnym zamożnym domu spotkałem panienkę z maturą, zachowującą się nieprzyzwoicie głośno nietylko w mieszkaniu, ale i na schodach kamienicy, a gdym zwrócił jej uwagę, że to może ujemnie wpłynąć na jej opinję u sąsiadów, odpowiedziała mi: „Opinja ogółu nic mię nie obchodzi!” Inna znów panienka, nieco uboższa, ale również z maturą, na moją uwagę, iż swemi hałasami przeszkadza w pracy obok mieszkającemu profesorowi, człowiekowi starszemu, odpowiedziała mi: „Wolnoć Tomku w swoim domku!” To są fakty, które najzupełniej potwierdzają zdania o „półdzikich stosunkach”, o „braku dyscypliny społecznej i rozsądnego wychowania jednostek”. Jest to nietylko wpływ wojny, którąśmy wszyscy przeżyli, ale jednocześnie karygodne niedbalstwo „ślepych” rodziców. To też ze szczerą radością spostrzegam, że są u nas ludzie, którzy poważnie myślą o „kulturze spokojnego zachowania się i — zachowywania względów wobec drugich”, o „wychowywaniu społeczeństwa do — kultury ciszy”.

Drugą ważną bolączką naszego społeczeństwa jest wysoce niekulturalne zachowywanie się osób palących, głównie mężczyzn. Proszę zajrzeć do większego biura; oto w niem w ciągu kilku godzin codziennie pracuje trzech panów i 4 panie. Z tej gromadki dwuch panów i jedna pani palą prawie nieustannie, nietylko papierosy, ale i cygara, najczęściej mocno cuchnące. Okna nie wolno otworzyć, gdyż pan naczelnik obawia się przeciągów. W ten sposób 4 osoby zmuszone są stale wędzić się w dymie nietylko dla nich wstrętnym, ale jednocześnie dla dwuch wątlejszych osób poważnie szkodliwym. Tu nie pomogą żadne prośby i perswazje, gdyż bezwzględny egoizm, skrajna niedelikatność i brak należytej kultury stają temu na przeszkodzie. Zrozumiały to już zarządy kolei, a nawet tramwajów miejskich, ale do umysłu dyrekcji biura wcale to nie trafia. Zdaje mi się, że w tej sprawie powinnaby zabrać głos ochrona zdrowia publicznego, któraby prawnie orzekła o możności palenia tytoniu li tylko w ubikacjach specjalnie na ten cel przeznaczonych, a nigdy w ogólnych salach pracy.”

*

Do skrajnych egoistów zaliczam ludzi, którzy opowiadając w towarzystwie o kłopotach, smutkach lub chorobach swoich i swojej rodziny, zmuszają drugich do dźwigania wraz z nimi tych ciężarów.

Niema człowieka wolnego od trosk, jakiekolwiekbądź byłyby pozory jego szczęśliwości i powodzenia. Istnieją tylko między ludźmi różnice w organizacji psychicznej, w usposobieniu, i podczas gdy jedni muszą obnosić ostentacyjnie swoje cierpienia i niezadowolenie, drudzy potrafią sami uporać się z tem, co im życie przynosi — i milczeć.

Dlatego bawi mnie, ilekroć słyszę o kimś, że jest szczęśliwym lub szczęśliwą, że niema żadnych kłopotów.

Skądże ta pewność niezachwiana? Cóż o tem wiedzieć możemy, co ktoś przeżywał lub może właśnie teraz przeżywa, z czem się łamie, co pokonywać musi? To, co nas najbardziej boli, co nas najgłębiej dotyka i udręcza — przemilczamy przecież wstydliwie.

Być może, choć i to niezawsze jest pewne, że ktoś nie ma takich samych kłopotów i smutków, jak ów ktoś opiewający jego beztroskie życie, ale to jest natomiast pewne, że ma rozmaite inne. Może niemniej przykre, a może nawet dużo przykrzejsze. Ale ma zato szlachetną rezerwę w obcowaniu towarzyskiem i wzgląd na drugich, którym usposobienia psuć nie chce. Jest to bowiem znanym faktem, że gdy w rozbawionem towarzystwie ukaże się nagle jedno chociażby skrzywione lub ponure oblicze, pogodny nastrój pierzchnie wkrótce. Bo smutek, zły humor, zgryźliwość są zaraźliwe narówni z zakaźnemi chorobami. Ale tem są podstępniejsze, że ludzie nie wiedzą, lub nie liczą się z tym faktem, a tem niebezpieczniejsze dlatego, że przeciw zakaźnym chorobom dała nam wiedza liczne środki ochronne, a przeciw bakcylom smutku i złego humoru nie wynaleziono jeszcze żadnego serum.

Pamiętajmy o tem i nie pozwólmy tyranizować się egoistom, niedorosłym do walki z przeciwnościami. Tem zaś bardziej, że jeszcze nikt nie pomógł drugiemu smutkiem, natomiast pogodnym uśmiechem i słowem rozprószył niejednokrotnie ciężkie myśli, niejeden ból złagodził.

Albo np. co to za męka słuchać różnych szczegółowych opowiadań o objawach chorób, często budzących odrazę, o ostatnich chwilach i t. p. A ileż razy musimy biernie znosić tę tyranję, ponieważ okazana obojętność, lub co obraźliwsze, niechęć poczytywana bywa za oschłość serca, za brak współczucia. Ludzie nie liczą się z tem, że to co u naszych najbliższych może nas wzruszać, co z najszczerszem oddaniem znosić i załatwiać będziemy — u obcych może nam być nawet wstrętne. A i z tem się nie liczą, że gdyby różni chorzy wiedzieli o odkrywaniu przed obcymi ich przypadłości fizycznych, zadrżeliby z oburzenia i okazaliby gadułom co innego, jak wdzięczność.

Przeciwdziałając taktownie takim sytuacjom w towarzystwie — podkreślam stale stosunki towarzyskie w celu odróżnienia od rodzinnych i przyjacielskich, w których niejedno jest samo przez się zrozumiałe — spełnimy dobry uczynek nietylko wobec nas samych, ale i wobec tych nałogowych cierpiętników, zatruwających własne i cudze dusze.

OBSERWATOR

POGADANKA O KWIATACH

W połowie grudnia zwykle panuje u nas już zupełna zima. W ogrodzie śnieg wszystko pokrył, możemy więc mówić tylko o tych kwiatach, które mamy w szklarniach i w mieszkaniu. Szklarnie w czasach powojennych należą u nas do rzadkości, a kogo stać na utrzymanie szklarni, ten najczęściej posiada wykwalifikowanego ogrodnika, nie potrzebującego przypominania, co w jakiej porze roku czynić w niej należy. Zatem ograniczę się tylko wskazówkami, dotyczącemi hodowli roślin doniczkowych w mieszkaniach.

Z roślin cebulkowych, tacety czysto białe oraz dwubarwne marsylskie, które zaczęliśmy pędzić w listopadzie, a również hiacynty rzymskie białe, wydały już nam pączki kwiatowe i zamierzają wkrótce, bo na same święta, zakwitnąć. Teraz należy je trzymać w ciepłym pokoju, w pełnem świetle, ale nieco dalej od okien, by chłód od szyb do nich nie dochodził i nie zapominać o stałem, umiarkowanem podlewaniu; przezorniej nawet będzie trzymać je raczej nieco za wilgotno, niż pozwolić kiedy ziemi wyschnąć zupełnie, co mogłoby poważnie uszkodzić korzenie i wpłynąć na częściowe zamarcie pączków kwiatowych. W tymże czasie rozkwitają zwykle czerwone amarylisy *(Amaryllis robusta)*, stanowiące prawdziwie efektowną ozdobę mieszkania w czasie świątecznym; czasem zakwitają one i wcześniej, w ciągu jesieni, począwszy nawet od pierwszych dni września, ale to jest nieprawidłowe. W czasie kwitnienia wszystkie rośliny cebulkowe podlewamy dość obficie, w ciągu dnia trzymamy w ciepłym pokoju, nieco dalej od pieca, zaś na noc przenosimy je do pomieszczeń chłodniejszych, co wydatnie wpływa na przedłużenie okresu kwitnienia. Po odkwitnięciu wszystkie cebulki podlewamy w dalszym ciągu, ale nieco mniej, aż do chwili, kiedy liście ich zaczną żółknąć (w lutym), a wtedy podlewanie stopniowo zmniejszamy, by od marca zupełnie je zasuszać, pozostawiając w tychże doniczkach, w ziemi. Tak traktowane cebulki dobrze mogą zakwitnąć jeszcze raz, pod koniec drugiego roku. Ten gatunek amarylisa, o którym wspomniałem wyżej, należy podlewać stale przez rok cały, gdyż liści on nie traci, a nieco mniej wody damy mu z chwilą kompletnego rozwoju jego liści, t. j. w maju lub czerwcu, co dodatnio wpłynie na jesienne kwitnienie.

W tymże czasie mamy kwitnące cyklameny (fiołki alpejskie) i primule, które wolą jak najwięcej przebywać w chłodnej atmosferze, a w każdym razie na noc winny być wynoszone do chłodnych ubikacyj, lub też trzymane tuż przy chłodnych oknach. To samo odnosi się do gwoździków i lewkonij, gdybyśmy je w tym czasie mieli.

W ciągu zimy szczególnie umiejętnie należy obchodzić się z roślinami, by im zapewnić zdrowe przezimowanie. Może najważniejszem ze wszystkiego jest umiejętne podlewanie, przy czem należy pamiętać, że nieco więcej wody potrzebują te rośliny, które w ciągu zimy rosną, inne zaś, nie rozwijające w tym okresie nowych liści, albo też o liściach twardych, czy też soczystych, mogą być trzymane prawie sucho, podlewane bardzo rzadko. Wielki błąd popełniają ci, którzy swoje rośliny podlewają codzień, „po troszeczku"; to najczęściej bywa zgubne dla roślin, wszak w przyrodzie one tego nie mają, czasem deszcz je zmoczy porządnie, ale za to przez kilka dni, lub nawet parę tygodni, roślina wcale wody nie otrzymuje. Jako ogólną zasadę podlewania roślin pokojowych, możemy przyjąć sposób następujący: zwracamy uwagę na powierzchnię ziemi w doniczce, a gdy przy dotknięciu palcem wyda się nam sucha, wtedy dopiero ją podlewamy i to obficie, by woda wyszła przez dziurkę, znajdującą się w dnie doniczki, a nawet by doniczka postała w wodzie przez pół godziny, by mogła jej naciągnąć jak najwięcej. Następnie pozostałą na miseczce wodę odlać i danej rośliny nie podlewać, póki znowu nie będzie miała pozornie suchej ziemi. Niektóre rośliny podlewamy dopiero wtedy, gdy miękkie ich liście (Fuchsie, skarlety) zaczynają więdnąć. Pod tym względem palmy szczególnie należy pilnować, raczej podlewać je zbytecznie, niż pozwolić ziemi zupełnie wyschnąć, zasuszenie bowiem palmy, choćby przez dzień jeden, najczęściej ją najzupełniej zabija. Do podlewania nie należy nigdy używać wody świeżo przyniesionej ze studni, czy też z pod kranu wdociągowego; woda taka winna wystać w pokoju przez 12—24 godzin, w naczyniu możliwie szeroko otwartem, by miała jak największą powierzchnię zetknięcia z powietrzem. Ciepłota wody może być taka, jak powietrze w którem stoją rośliny, lub nieco cieplejsza, nigdy zaś zupełnie chłodna.

Pozatem rośliny należy utrzymywać w czystości, liście ich obcierać ściereczką, a następnie zmywać letnią wodą, co należy powtarzać co 7—14 dni. Rośliny o miękkim liściu winny stać bliżej światła, zaś twarde *(Ficus, Philodendron, Aspidistra)* mogą być w ciągu zimy w półcieniu. Nie zmieniać często miejsca ich postoju, nie oddalać lub przybliżać do okna, odwracać do światła zawsze tą samą stroną, gdyż od ciągłego kręcenia rośliny cierpią, a gdy się zbyt pochylają w stronę okna, to je przywiązać do palika.

S. MAKOWIECKI

KRONIKA

TEATR NARODOWY W WARSZAWIE zapowiada premjerę sztuki p. t. „Sprawa Dantona", której autorką jest córka Stanisława Przybyszewskiego.

KURSY KSZTAŁCENIA KOBIET w sprawach finansowych utworzone przy związkach kobiecych klubów w Stanach Zjednoczonych. Kursa te uświadamiają kobiety o konieczności orjentacji w labiryncie finansowości, gdyż większość kobiet nie umie zarządzać własnemi kapitałami, lokuje je niekorzystnie i nie zna się na wartości akcyj.

„KOBIETY NISZCZĄ SERWETY", orzekli restauratorzy. I oto nawet w pierwszorzędnych restauracjach paryskich podają serwetki bibułkowe. Używane bowiem przez panie farby do ust są tak trwałe, iż w żaden sposób nie dają się wyprać, co przyczyniało właścicielom restauracyj znaczne straty.

DO GRONA ZNANYCH AKTORÓW POLSKICH w Ameryce przybyła ostatnio panna Jadwiga Błażyńska, występująca pod pseudonimem „Jana Blane" w Detroit. Jest ona rodem z Małopolski, do Ameryki wyjechała mając lat siedm. Po zdobyciu znacznych sukcesów w Stanach Zjedn., podobno wybiera się teraz do Chin, Tybetu i na wyspy Malajskie.

MISS ISHBEL MAC DONALD, córka premjera angielskiego, towarzyszy ojcu w podróży do Ameryki. Zainteresowanie Amerykanek kieruje się raczej ku niej, niż ku jej rodzicowi. Miss Ishbel, którą królowa angielska nazwała „naprawdę czarującą", skończyła niedawno dwadzieścia sześć lat. Wiadomo powszechnie, że nie lubi tańczyć, nie pali papierosów i jest ideałem cnót domowych.

W MADRYCIE przebywała niedawno córka Mussoliniego, panna Eda. Udzieliła ona wywiadu, w którym m. in. powiedziała: — Namiętnie interesuję się muzyką i rzeźbą, natomiast polityka jest mi całkowicie obojętna. Zresztą nie chcę się nią zajmować z zasady, czynię nawet wszystko, co ode mnie zależy, by wogóle zapomnieć o jej istnieniu. Il Duce jest dla mnie tylko ojcem. — Jak to się jednak dzieje, — zapytał dziennikarz — że pani, tak gorąco kochając ojca, nie współpracuje w jego dziele? — Pomagam mu lepiej, obdarzając go miłością i tkliwością. Czy pan nie podziela mego zdania? — spytała panna Eda.

TYLKO RZEKA LA PLATA dzieli Urugwaj od Argentyny, ale z punktu widzenia spraw małżeńskich zachodzą tu wielkie przeciwieństwa. W Argentynie niema przez prawo uznanego rozwodu, natomiast w Urugwaju o rozwód nadzwyczaj łatwo. Wskutek tego Argentyńczycy skwapliwie korzystają z bliskości Urugwaju, gdzie nawet nie potrzeba osobiście się stawiać w sądzie rozwodowym. Jednym z wielu wystarczających powodów jest tam poprostu „niezgodność temperamentów".

W KNOXVILLE W STANACH ZJEDNOCZONYCH mieszka pewna początkująca powieściopisarka, posiadająca imię i nazwisko, w którego autentyczność nikt nie chce wierzyć. Pani ta nazywa się Corona Remington, czyli jednoczy w swem nazwisku dwie maszyny do pisania. Redaktor pewnego dziennika odpisał jej niedawno: „Nowela pani jest ładna, lecz nie można jej podpisywać tak śmiesznym pseudonimem".

W CHEMNITZ, podczas dnia sportowego szkoły lotniczej, Erna Krel wykonywała skok ze spadochronem. Na nieszczęście spadochron się nie otworzył i lotniczka zabiła się na miejscu. Drugą ofiarą była Marwel Crosson w stanie Arizona w Ameryce. Widząc podczas lotu, że motor się zepsuł, chciała ratować się spadochronem, lecz i tu przyrząd zawiódł, powodując śmierć lotniczki.

DZIENNIKI DONIOSŁY O ZARĘCZYNACH p. Simony Thion de la Chonne, francuskiej mistrzyni golfa, z jednym z najlepszych tennisistów Francji, René Lacoste. Panna Thion de la Chonne, która jest córką znanego bankiera paryskiego, oświadczyła dziennikarzom, że nie zamierza porzucić golfa, a i Lacoste pozostanie wiernym tennisowi.

NOWOŚCI LITERATURY KOBIECEJ WE FRANCJI. Germaine Acremant Gertrude et mon coeur. — Florence Barclay Les dames blanches de Worcester. — Jeanne Danemarie La petite main rouge. — Suzanne Martinon Le silence enchanté. — Paule Regnier Heureuse faute. — Isabelle Sandy Le Dieu noir.

ZARZĄDY KOLEI północno-zachodniej w Ameryce wprowadzają z inicjatywy związków kobiecych, specjalne wagony dla dzieci w pociągach dalekobieżnych.

WYŻSZY KURS NAUCZYCIELI gospodarstwa domowego i kobiecych robót ręcznych organizuje komisja krakowska Z. P. N. S. T., Rynek 29, II p. Wykłady rozpoczęły się 1-go października i trwać będą do 30 czerwca 1930.

CÓRKA INDYJSKIEGO MAHARADŻY Burwana, wraz z dwiema paniami z najwyższych sfer, otworzyła w Londynie sklep z przedmiotami indyjskiej sztuki. Otwarcie sklepu i osoby sprzedawczyń wzbudziły ogólną sensację.

NA TEGOROCZNYM ZJEŹDZIE CHEMIKÓW w Poznaniu obecne były przedstawicielki politechniki warszawskiej i poznańskiej. Sekretarką zjazdu była p. Krukówna. Referatów wygłoszonych przez kobiety było 16, największe zainteresowanie obudził odczyt p. Alicji Dorabialskiej „O cieple promieniowania minerałów radjoczynnych". Z dziedziny mikrokalorymetrji wygłosiły referaty pp. Sołodkowska, Bartoszewska, Rybicka, z termochemji p. Starczewska.

MONSIGNOR GONON, biskup z Moulins, wydał ostatnio zarządzenie, że tylko przyzwoicie ubrane kobiety będą miały dostęp do cudownej groty w Lourdes. Ażeby zostać dopuszczoną, kobieta musi mieć suknię z długiemi rękawami i sięgającą poniżej kolan.

PIERWSZE KOBIETY, zajmujące się astronomją, pracowały we Francji. Pani Chandon była już w roku 1912 asystentką astronomji w Obserwatorjum paryskiem. Jest ona podobno znakomitością w świecie naukowym. Pani Calvet pracuje od roku 1919 w Strassburgu, astronomka Clavier pracuje od roku 1922 w Paryżu. Pani Jasse jest docentką astronomji w Marsylji, panna Bac, stypendystka, w Lyonie od r. 1925, w tem samem obserwatorjum asystentką jest p. Bloch. Astronomka p. Chevalier pracuje w Paryżu; należała ona do najzdolniejszych słuchaczy tego studjum. Pani Anglade w Tuluzie została mianowana astronomką w roku 1927.

ZIMA W POLSKICH UZDROWISKACH

Już jesień zrzuciła niemal ostatnie pożółkłe liście; co rano biały szron spowija ziemię i głosi, że — „zima za pasem". — Niedługo już też spadnie pierwszy śnieg, za nim drugi i trzeci, a na to hasło i wezwanie zerwie się fala — zda się dziwacznie uzbrojonych — rycerzy, by z dołów ruszyć na podbój gór, by podpatrzeć i wydrzeć przyrodzie to piękno cudowne, jakie zima złośliwie tylko w górach roztacza.

Zapełnią się pociągi masą narciarzy, co raźno i żwawo, pełni zdrowia i siły, radości i uśmiechu życia śpieszą w góry na one z przyrodą harce. Podążmy więc ich szlakami, poznajmy te polskie stoki i szczyty, które już za dni parę staną się terenem sportowej rozrywki i krynicą zdrowia dla licznych rzesz polskiego społeczeństwa.

Niemal tuż przy zachodniej granicy Państwa płynie Wisła w swym górnym biegu i otwiera przepiękną, wąską i zwartą dolinę, u której podnóża rozłożyła się miejscowość Ustroń, na wysokości 356 m ponad poziom morza, licząca około 4300 stałych mieszkańców. W Ustroniu znajduje się prywatny zakład kąpieli borowinowych, który jednak dotychczas nie jest czynny w czasie miesięcy zimowych. Ustroń w zimie jest punktem wyjścia wycieczek narciarskich na okoliczne szczyty, wznoszące się z obu stron doliny, a mianowicie Czantorję (996 m) i Równicę (883 m). W ostatnich latach powstało w Ustroniu szereg bardzo przyzwoitych pensjonatów, w których można bardzo przyjemnie spędzić wiele zimowych dni, czy nawet tygodni. W roku bieżącym ukończono prace pomiarowe i rozpoczęto opracowanie planu regulacyjnego, jak również przystąpiono do opracowania projektu centralnego wodociągu. Nad brzegiem Wisły, wzdłuż wału ochronnego, gmina rozpoczęła budowę bardzo ładnie zaprojektowanego parku spacerowego. Po wszystkie informacje należy się zwracać do Zarządu Gminnego w Ustroniu. Na miejscu znajduje się stacja kolejowa, urząd pocztowo-telegraficzno-telefoniczny, jak również lekarz i aptekarz.

Posuwając się dalej w głąb doliny Wisły, napotykamy przysiółek Polanę, a następnie wieś Wisłę, rozłożoną na przestrzeni przeszło 100 km². U stóp Góry Baraniej (1214 m) wypływa Wisła, dwoma potokami — Białą i Czarną Wisełką. Na Baraniej znajduje się należycie urządzona skocznia narciarska, oraz schronisko Tow. Tatrzańskiego. Również przepięknych wycieczek narciarskich dostarczają szczyty: Stożek (975 m) i Czantorja (996 m), dostępne od strony Wisły równie dogodnie, jak i od Ustronia. W roku bieżącym doprowadzono linję kolejową i otwarto stację kolejową w samym środku uzdrowiska. Tak w samej dolinie Wisły, jak i okolicznych dolinach Malinki, Dziechcinki i Kopydła, znajduje się szereg bardzo schludnych pensjonatów i domków góralskich, w których można znaleźć pomieszczenie również w miesiącach zimowych. W dolinie Czarnej Wisełki, na stokach wzgórz Głębca, buduje się obecnie Zamek dla Prezydenta Rzeczypospolitej, który bardzo często zjeżdża w te strony na polowania w przepięknych, odwiecznych lasach. Kuracjusze, przebywający w Wiśle ponad 14 dni, korzystają w drodze powrotnej ze zniżek kolejowych również w miesiącach zimowych. Urząd pocztowo-telegraficzno-telefoniczny, jako też lekarz, znajduje się na miejscu. Wszelkich informacyj udziela Urząd Gminny w Wiśle.

Główna droga powiatowa, naprawiona w ostatnich miesiącach kosztem Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego, przechodzi przez całą dolinę Wisły, od Skoczowa, przez Ustroń, Wisłę, wzdłuż potoku Kopydło i pnie się coraz bardziej w górę przepiękną serpentyną, aż wreszcie na przełęczy Kubalonka (761 m) osiąga swój punkt najwyższy i opuszcza się ku płaskowzgórzu Istebnej.

Tuż za przełęczą Śląski Urząd Wojewódzki rozpoczął budowę Sanatorjum-Szkoły dla 260 dzieci, mających lekkie początki gruźlicy. Budowa będzie ukończona w ciągu 3 lat.

Całe płaskowzgórze Istebnej, rozciągające się poniżej przełęczy, na terenie którego rozsiadły się trzy wsie: — Istebna, Koniaków i Jaworzynka — posiada wspaniałe tereny narciarskie, szczególnie dla początkujących. Zawiązana przed kilku laty, spółka z ogr. odp. „Uzdrowisko Istebna" przystępuje do wybudowania na północnych stokach, o doskonałej, południowej wystawie słonecznej, pierwszorzędnej stacji klimatycznej, tak letniej jak i zimowej. Dojazd do Istebnej do stacji kolejowej w Wiśle, a następnie furmankami około 7 km do przełęczy. Istebna narazie nie posiada odpowiednio urządzonych pensjonatów, któreby pozwalały na przebywanie tam przez dłuższy czas również w miesiącach zimowych. Po wszelkie informacje należy się zwracać do urzędów gminnych w Istebnej, Koniakowie i Jaworzynce.

Opuściwszy dolinę Wisły i idąc od Ustronia przez Skoczów do Bielska, posuwamy się przez cały czas podnóżem Beskidów Śląskich. Już niedaleko Bielska, bo zaledwie 10 km, napotykamy najpierw stację kolejową, a dwa km od głównej drogi, u stóp gór, malowniczo położoną miejscowość Jaworze na wysokości 350 m ponad poziom morza. Jaworze, otoczone wzgórzami i zasłonięte lasem od szkodliwych wiatrów, posiada czysto podgórski klimat, o bardzo małych dziennych wahaniach temperatury i nadaje się znakomicie jako miejsce odpoczynkowe dla rekonwalescentów, oraz ludzi nerwowo chorych, lub przemęczonych wytężoną pracą umysłową. Rozbudowany w ciągu bieżącego roku i dostosowany do potrzeb sezonu zimowego Zakład leczniczy im. Dra Czopa, posiada wszystkie urządzenia do hydropatji i elektroterapji, jak również sztucznych kąpieli mineralnych. Zakład posiada własne pokoje gościnne, urządzone zupełnie komfortowo, z zimną i ciepłą wodą bieżącą niemal we wszystkich pokojach. Z tarasu głównego budynku rozciąga się przepiękny widok z jednej strony na pobliskie góry, z drugiej zaś, od północy, na wyciągnięty, bogato sfalowany niż śląski. W zakładzie jest prowadzona pod kierunkiem lekarza wzorowa kuchnia dietetyczna. Umiarkowane ceny i bardzo troskliwa opieka tak lekarska jak i pielęgniarska ściągają co roku liczne rzesze kuracjuszów z całej Polski.

Wodociąg, kanalizacja, światło elektryczne, a nawet centralne ogrzewanie znajdują się nietylko w samym zakładzie leczniczym, lecz również w kilku ostatnio wybudowanych pensjonatach. Bardzo piękny stary park dostarcza ciekawych pejzażowo widoków, szczególnie w porze zimowej. Jaworze jest punktem wyjścia wycieczek narciarskich na pobliskie szczyty jak: Błatnia (824 m), Klimczok (1119 m), Szędzielna (954 m), a nawet na Baranią (1214 m). Stacja kolejowa, urząd pocztowo-telegraficzno-telefoniczny, jak również lekarz i apteka znajdują się na miejscu. — Oprócz połączenia kolejowego z Jaworza (od samego zakładu) aż do Bielska kursują stale, 6 razy dziennie bezpośrednie autobusy. Wszelkich informacyj udziela Komisja Uzdrowiskowa i urząd gminny w Jaworzu.

Opuściwszy Jaworze, idziemy dalej podnóżem Beskidu aż do Bielska, skąd dostajemy się w dolinę Białej, w której leżą miejscowości: Mikuszowice, Bystra Śląska i Małopolska, a wreszcie po stronie województwa krakowskiego Szczyrk. Wszystkie te miejscowości w zimie są podstawą dla wycieczek narciarskich na okoliczne szczyty, a mianowicie: Płytę Kamieniecką, Magórkę, Klimczok, Szędzielną i Babią Górę (1700 m).

W Bystrej Śląskiej znajduje się wspaniale urządzone Sanatorjum Związku Kas Chorych w Krakowie. Sanatorjum posiada trzy pawilony, z których dwa są przeznaczone dla chorych na gruźlicę, jeden zaś, zupełnie od tamtych oddzielony dla innych chorób. Do sanatorjum w wypadku wolnych miejsc przyjmuje się również pacjentów nie będących członkami Kas Chorych. Lekarzem naczelnym jest dr Wł. Meidinger.

Pozatem tak w Bystrej Śląskiej, jak i Małopolskiej znajduje się kilka pensjonatów czynnych przez całą zimę. Dojazd do stacji kolejowej Wilkowice-Bystra, skąd dalej chłopskiemi furmankami. Informacyj udzielają urzędy gminne w poszczególnych miejscowościach.

Inż. EUGENJUSZ ZACZYŃSKI

Z HIGJENY I KULTURY CIAŁA

Przed zbliżającym się sezonem zabaw i zebrań wieczornych troska o miły wygląd wydaje się rzeczą naturalną i nikt w tem zdrożnej płochości dopatrzeć się nie może.

Skoro żyjemy w tak mądrej i cywilizowanej epoce, w której brak zrozumienia dla kultury fizycznej uważany jest za brak kultury wogóle, poświęcajmy jej tyle uwagi, ile potrzeba do uzyskania ponętnej powierzchowności.

Ponętne — jest często pożądańsze od pięknego. A ponętną może być każda kobieta. Nawet brzydka, nawet ułomna, nawet — tęga! Ryzykowne twierdzenie; ale do uzasadnienia.

Piękność rysów nie jest tu wcale koniecznym warunkiem, a wszystkie inne, niezbędne, przy dobrej woli osiągnąć nietrudno:

trzeba być zdrową, dobrze ubraną i dobrze się ruszać.

Te trzy warunki wystarczą, by zapewnić każdej kobiecie powodzenie.

Kobieta zdrowa ma z reguły miłe, pogodne usposobienie i już tem samem ujmuje każdego. Wszelkie oznaki choroby, niedomagań i rozmowy na ten temat są źle widziane i niemodne. To chyba dosyć. Trzeba więc żyć higjenicznie, pielęgnować zdrowie i promieniować niem dokoła.

Specjalnym darem zdrowia jest piękna cera, czyli wraz z nią przybywa nowy wdzięk.

Być dobrze ubraną — któraż kobieta nie pragnie tego za każdą cenę. I słusznie zresztą; wszak to ważna sprawa, od której wiele rzeczy zależy. Niejednym przychodzi to łatwo, inne znów cokolwiek sprawią, źle w tem wyglądają; czyli, że jedne mają szyk wrodzony, a innym brak go najzupełniej. W takim przypadku najważniejszą rzeczą, punktem zwrotnym ku lepszemu, jest uświadomienie sobie tego braku. Z tą chwilą kobieta przestaje polegać na własnych zachciankach i szuka porady u osoby obdarzonej wypróbowanym smakiem. Albo, gdy jej na to budżet pozwala, oddaje się w ręce pierwszorzędnej krawczyni. Jeśli ani jedno ani drugie jej nie odpowiada, ma swoją redakcję, która jej chętnie i szczegółowo we wszystkiem doradzi. Najczęściej zdarza się jednak, że kobiety nie mające wyczucia na czem polega to nieuchwytne, szykiem nazwane, łudzą się co do swych zdolności. A to jest najniebezpieczniejsze.

Dobre ruchy są specjalnym wdziękiem. Umieć ruszać się swobodnie, harmonijnie, nie nadużywać żadnego gestu, to tyle co czarować oczy, być czarującą.

Gimnastyka, sporty, taniec, kontrola nad sobą, pewność siebie — oto co nam zapewnia wdzięk ruchów.

Czasem wszystkie te trzy warunki przynosi ktoś z sobą na świat; ani się o nie troszczy, ani o nich wie, a raduje oczy ludzkie bez względu na nieregularne rysy, kolor oczu lub włosów. Ktoś inny znów musi je zdobywać. Niechże się bierze do tego z wiarą i nie zniechęca byle przeszkodą, z których każda jest do pokonania, a odniesione zwycięstwo opłaca się tak mile.

Kobieta, pragnąca ładnie wyglądać, musi pamiętać o wypoczynku. Jest to nieuniknione prawo, od którego nie można się uchylić, ani organizmu niczem innem oszukać. Blask i swobodny wyraz oczu, świeżość policzków, lekkość ruchów zawisły od wypoczynku. Znużenie wyciska przykre piętno na rysach i wyrazie twarzy, na ruchach i brzydko zabarwia cerę, której żadne kosmetyki nie pomogą, gdyż rażą na niej.

A gdy już o kosmetykach mowa, nie zawadzi kilka rad, kilka przestróg.

Jeśli można — unikać kosmetyków. Jeśli trzeba — używać dyskretnie, dobierać indywidualnie. Więc nie pierwszy lepszy puder lub ołówek do ust, lecz taki, który będzie w zgodzie z karnacją, z kolorem włosów, oczu i wogóle całości.

Są epoki, w których jest moda na kosmetyki i wtedy wolno kobietom z najlepszych sfer posługiwać się niemi zupełnie jawnie; ale bywają i takie, które kosmetyki umieszczają na towarzyskim indeksie. A jest to tem ciekawsze, że im wyżej stoi kultura fizyczna, tem szczerzej poprawia się kosmetykami naturalne wdzięki lub brak ich uzupełnia.

Obecnie żyjemy w epoce mody na kosmetyki i damy światowe swobodnie o ich używaniu opowiadają, jak i o wizytach w instytutach piękności. To należy do współczesnego tonu życia. Cóż poradzimy — trudno z tem walczyć, zwłaszcza gdy drobne poprawki nikomu nie szkodzą, a niejedną wadę usuną.

Tutaj pozwolę sobie zwrócić paniom uwagę na to, że najtrudniejszą rzeczą jest przyciemnianie oczu. To dobre jest na scenę, na odległość, ale w salonie, na sali balowej, w życiu prywatnem nieszczególnie wygląda. Każda kreska jest zaraz widoczna, ale to byłoby najmniejsze, gdyby ta kreska upiększała oczy. Tymczasem nie, nie robi tego, a za to postarza każdą twarz, psuje jej charakter. Prócz tego, zdarza się często, że po kilku godzinach kreska zmienia miejsce pobytu i tworzy brzydki kleks gdzieś w kąciku oka, lub pod dolną powieką. Serdecznie więc Wam radzę, Drogie Czytelniczki, nie poprawiajcie oczu; zyskacie na młodym i szlachetnym wyglądzie.

Dużo uwag i rad w sprawie posługiwania się doraźnie upiększającemi kosmetykami znajduje się w IV Almanachu „Świata Kobiecego”, w artykule p. t. „Maquillage”.

Najważniejszym momentem w staraniach o upiększenie twarzy na wieczór wydaje mi się przyśpieszenie obiegu krwi i co za tem idzie przywrócenie świeżości cery, naturalnego zaróżowienia. Do środków, podanych już w tym celu w artykule: „W toaletce pani” (IV Almanach), dodam tu ostatnią zdobycz kosmetyczną, a mianowicie parafinowe okłady. Można je bezpiecznie wykonać własnoręcznie w domu, bez cudzej pomocy, bez straty czasu w którymś z instytutów. Kasety z przyborami i drobiazgowym opisem można nabyć u nas w każdem większem mieście. Przy użyciu trzeba się ściśle do objaśnień stosować. Okłady można robić aż do zupełnego zużycia parafiny, t. zn. wielokrotnie; zatem jednorazowy okład nie wypadnie drogo. Za to twarz jest momentalnie odświeżona, różana, wypoczęta i promienna. Panie mogą się przekonać, że przesady w tem ani cienia. A ponieważ środek jest nieszkodliwy, więc wspominam o jego istnieniu właśnie z racji konieczności szybkiego odświeżania się w okresie zabaw i karnawału.

Karnawał przywodzi mi na myśl dekoltaże pań. Jakże często nierozumnie dobrane, niepotrzebnie przesadne, oszpecające. Panie muszą „zobaczyć” swoje błędy i starać się, by ich inni nie zobaczyli. Nie wystawiać na widok publiczny chropowatych, czerwonych ramion, brzydkiej klatki piersiowej, krzywych lub wystających łopatek, zanieczyszczonej wypryskami skóry.

Jakkolwiek suknie balowe wymagają dekoltaży, obecna moda jest łaskawa i przewidująca różne możliwości. Mamy modele, które potrafią w sposób wyrafinowany pozakrywać i zatuszować różne brzydoty, a mimo to nie przestaną być balowemi modelami.

Więc na zakończenie prośba: bądźcie zdrowe, dobrze ubrane, ruszajcie się z wdziękiem — i słuchajcie życzliwych rad

EFEBA

PLOTECZKI O MODZIE

TOALETY WIECZOROWO-BALOWE

Aksamit łączony z muślinem — na suknie wieczorowe i balowe. Przybranie aksamitnych toalet, tak gładkich jak w deseń, musi być bardzo skromne. Oto najnowszy pomysł: inkrustowane wąskie na jeden lub pół cm paseczki muślinu. Aksamit zacina się w dowolne wzory. Efekt prześliczny i wytworny, a co najważniejsze: pomysł świetny do przeróbek.

Z balowem obuwiem — mamy kłopot. Moda zarządziła je w kolorze sukni. Zatem ujrzymy je w najnieoczekiwańszych kolorach: zielonym, turkusowym, dahlia, cytrynowym, purpurowym, pomarańczowym i t. p. Wykonane nietylko ze skórki, lecz i z materjału sukni, czyli... można jeden i ten sam pantofelek pokryć kilkakrotnie w sezonie. Czółenko na pierwszym planie, ale pozatem mnóstwo uroczych modeli z fantazyjnie rozmieszczonemi paseczkami. Zamiast guziczka do zapięcia — klejnocik ze strasu lub kolorowego kamienia.

Balowe pończoszki — i wogóle wieczorowe, to jest kolor ich jest powodem do częstych pytań i nieporozumień. *Do jasnych toalet jasne stonowane — do ciemnych nieco ciemniejsze, ale nie całkiem ciemne.* Cielisty kolor, traktowany poprzednich lat wprost uniformowo, dziś tylko do sukni cielistej jest możliwy.

Mora — jest wśród materjałów popołudniowych i wieczorowych ostatnim krzykiem sezonu. Miękka, cieniuchna, o zgubionym deseniu, daje wyrafinowane w prostocie toalety naprzykład czarne, brunatne, granatowe, fiołkowe na popołudnie, zielone, błękitne, białe na wieczór; słowem — od najciemniejszych do najjaśniejszych, a wszystkie czarujące.

Muślin jedwabny — ten najzwiewniejszy z materjałów, ma dalej szalone powodzenie. Ileż bo zalet kryje się w nim! Gdy chodzi o przerobienie, o odświeżenie, o szybką transformację sukni — nic go nie zastąpi. Gdy chodzi o młodocianą nutę w toalecie — jest nieprześcigniony. Czy jako przykrycie całej spódniczki, czy jako wolanty, czy jako boczne części, jako olbrzymia kokarda lub szarfa, — niema sobie równego. A gdy o cenę chodzi — czyż nie najniższa?

Modna odmiana tiulu — gruba tkanina o szerokich oczkach, przypominających siatkę. Tiul jest współzawodnikiem muślinu i takiem samem wzięciem się cieszy. Ale i cienki jedwabny tiul nie stracił powodzenia.

Staniki do sukien tiulowych — robimy z tafty, z mory, z faille. Czasem, ale to bardzo pracowite i kosztowne, jest stanik z tiulu zahaftowanego perłami. Staniczki są rozmaitej długości: do pasa, połowy bioder, poza biodra, czasem aż do kolan prawie; obwód tych dłuższych najczęściej nierówny, a od brzegów zaczynają się fantazyjne wolanty.

Bufki — są wdzięczną ozdobą sukien tiulowych. Z materjału stanika, przybierają suknię dołem w kapryśne wzory. Jeszcze piękniejsze są frendzle z piór strusich „glycérinées".

Szerokie paski marszczone — u sukien balowych kończą się kokardą, dużym „pufem", albo zwykłem związaniem, z pod którego spływają końce do kostek. Czasem do ziemi lub dłużej.

Spody pod suknie przejrzyste — wykonywa się z materjałów jedwabnych, z których wierzch lekko się ześlizguje. Krepa chińska 100 cm



1



2



3



4

1. Toaleta balowa z tafty wzorzystej.

2. Okrycie wieczorowe z wiśniowego aksamitu, z jasnem futrem.

3. Wytworna popołudniowa suknia z materjału wzorzystego, przybrana gładkim do tonu i wyzakładkowanym.

4. Komplet na każdą porę dnia z lekko wzorzystego tweedu, w połączeniu z jedwabiem. Przybranie z jasnego futra.



5



6



7



8

5. Płaszcz popołudniowy z czarnego aksamitu, przybrany szynszylami lub ich imitacją.
6. Płaszcz popołudniowy z. jasno-popielatego aksamitu, z ciemnem futerkiem.

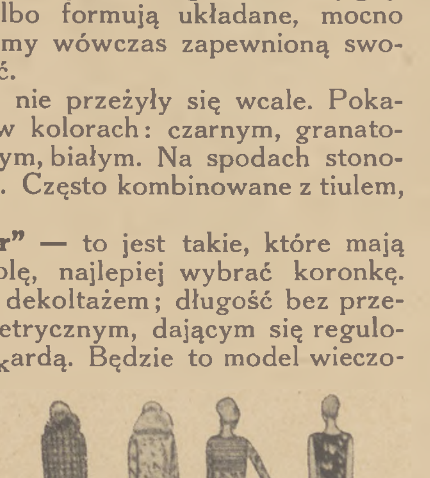
7. Kostjum popołudniowy z sukienka lub aksamitu; szalowy kołnierz i obramowanie żakietu dołem z czarnych selskinów.
8. Kostjum z tweedu na każdą porę dnia. Materjał w kolorach beige i bronzowym, w delikatną kratkę.

szeroka, może być użyta na szerokość, a wtedy wystarcza 1 m 30 cm — 1 m 50 cm. Wypada więc taniej od materjałów szerokości 80 cm. Płótno jedwabne „petite reine” jest również bardzo dobre na spody i pierze się tak samo pięknie jak krepa chińska. Kto może sobie pozwolić na droższe materjały, ma do wyboru: crêpe satin i mongol, faille.

Spód pod lekkie toalety — musi być wąski, jeśli toaleta ma dobrze leżeć. Góra i biodra obcisłe; na jednem biodrze szew otwarty, a brzegi zachodzą głęboko jeden na drugi, albo formują układane, mocno zaprasowane fałdy. Mamy wówczas zapewnioną swobodę ruchów i smukłość.

Suknie koronkowe — nie przeżyły się wcale. Pokazywano je na rewjach w kolorach: czarnym, granatowym, beige, dahlia, złotym, białym. Na spodach stonowanych lub odmiennych. Często kombinowane z tiulem, albo, z żorżetą.

Na suknie „jour-soir” — to jest takie, które mają odgrywać podwójną rolę, najlepiej wybrać koronkę. Model bez rękawów, z dekoltażem; długość bez przesady, o obwodzie asymetrycznym, dającym się regulować podpięciem lub kokardą. Będzie to model wieczorowej toalety. Gdy chodzi o większe przyjęcie między piątą a siódmą, wówczas skraca się nieco jednym chwytem długość asymetrycznej części sukni i skrywa pod jakimś węzłem, kokardą lub motywem. Prócz tego wkłada się szerokie bolerko pod szyję, z długiemi i szerokiemi rękawami, albo luźny żakiecik sięgający do połowy bioder. Tak bolerko, jak żakiecik z tej samej koronki.



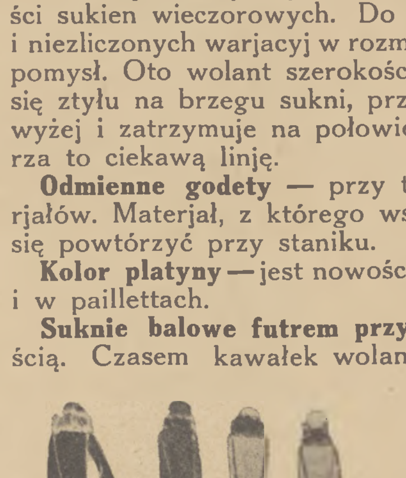
Wyłogi na plecach — ukazały się na wielu modelach wieczorowych. Nie są to, rzecz jasna, typowe angielskie wyłogi, lecz wolanciki en forme, które wykańczają, od ramion począwszy, po obu stronach głęboki dekoltaż na plecach. Wykonane najczęściej z materjału przezroczystego lub z koronki.

Wolanty — stały się ulubionem przybraniem większości sukien wieczorowych. Do rozmaitych ich odmian i niezliczonych warjacyj w rozmieszczaniu, przybył nowy pomysł. Oto wolant szerokości około 40 cm umieszcza się ztyłu na brzegu sukni, przeprowadza bokami coraz wyżej i zatrzymuje na połowie długości przodu. Stwarza to ciekawą linję.

Odmienne godety — przy toaletach z dwuch materjałów. Materjał, z którego wstawione są godety, musi się powtórzyć przy staniku.

Kolor platyny — jest nowością w materjałach z lamy i w paillettach.

Suknie balowe futrem przybrane — nie są rzadkością. Czasem kawałek wolantu jest nim przybrany, czasem króciutki żakiecik wykończony w obwodzie szerokim pasmem futra. Ciekawie wyglądał np. model niesłychanie skromny z muślinu gładkiego w kolorze ametystowym, którego żakiecik, również z muślinu, obramowany był dołem chinchillą.



Dok. art. na str. 569

MODELE MÓD

TOALETY WIECZOROWE



1004 1005 1006 1007

1004 Suknia z czarnej jedwabnej satyny. Krój princesse; dołem klosze. Fałbanki na biodrach i wdole krajane kloszowo. Wtyle, u wycięcia, kokarda ze srebrnej wstążki.

1005 Suknia z blado-lila mory. Krótki, obcisły staniczek przyszyty do gładkiej, wąskiej spódniczki, przybranej czterema rzędami wolantów.

1006 Suknia z heljotropowej krepy chińskiej. Staniczek gładki; spódniczka kloszowa, układana w kontrafałdy. Kamizelka z koronki złotej, ozdobiona fantazyjnem futrem.

1007 Suknia z aksamitu w kolorze violet-dahlia; u wycięcia szara koronka z kokardką do tonu. Stanik zbluzowany; na biodrze kokarda z aksamitu, podszyta błyszczącym jedwabiem.

Żądajmy przedewszystkiem wyrobów krajowych!

Zanim kupimy nową suknię, sprawdźmy czy zeszłoroczne nie nadają się do przerobienia, które bieżąca moda widocznie faworyzuje.



1008 1009 1010 1011

1008 Suknia z jedwabiu faille w kolorze pervenche (kwiat barwinku). Wąska princesse, przybrana żabotowemi wolantami, krajanemi kloszowo. Czarne antylopowe rękawiczki.
1009 Suknia z białego marocain i białej koronki.
1010 Suknia z blado-niebieskiej krepy chińskiej, z koronkowym szalem, przyszytym u wycięcia i zakończonym emaljowaną klamrą. Boczne części spódniczki przymarszczone na biodrach.
1011 Suknia z krepy javanais w kolorze czerwonym. Modny sznur na szyi i klamra w odcieniu staro-złotym. Na staniczku zakładki; spódniczka kloszowa.

Żądajmy przedewszystkiem wyrobów krajowych!
Zanim kupimy nową suknię, sprawdźmy czy zeszłoroczne nie nadają się do przerobienia, które bieżąca moda widocznie faworyzuje.



1012 1013 1014

1012 Suknia z tiulu i atłasu w kolorze dahlia w dwóch odcieniach, jaśniejszym i ciemniejszym. Oryginalny wolancik przy wycięciu stanika imituje rękawki, a sięga od szwów na ramionach, przez plecy.

1013 Suknia z tafty w deseń, krojem princesse. Zapięcie na plecach zakrywa złota borta, naszywana kamykami stonowanemi z suknią.

1014 Suknia z wzorzystego muślinu na tle brzoskwiniowym. Pasek metalowy. Na spódniczce zprzodu krzyżują się dwa pasma drobniutkich zakładeczek.

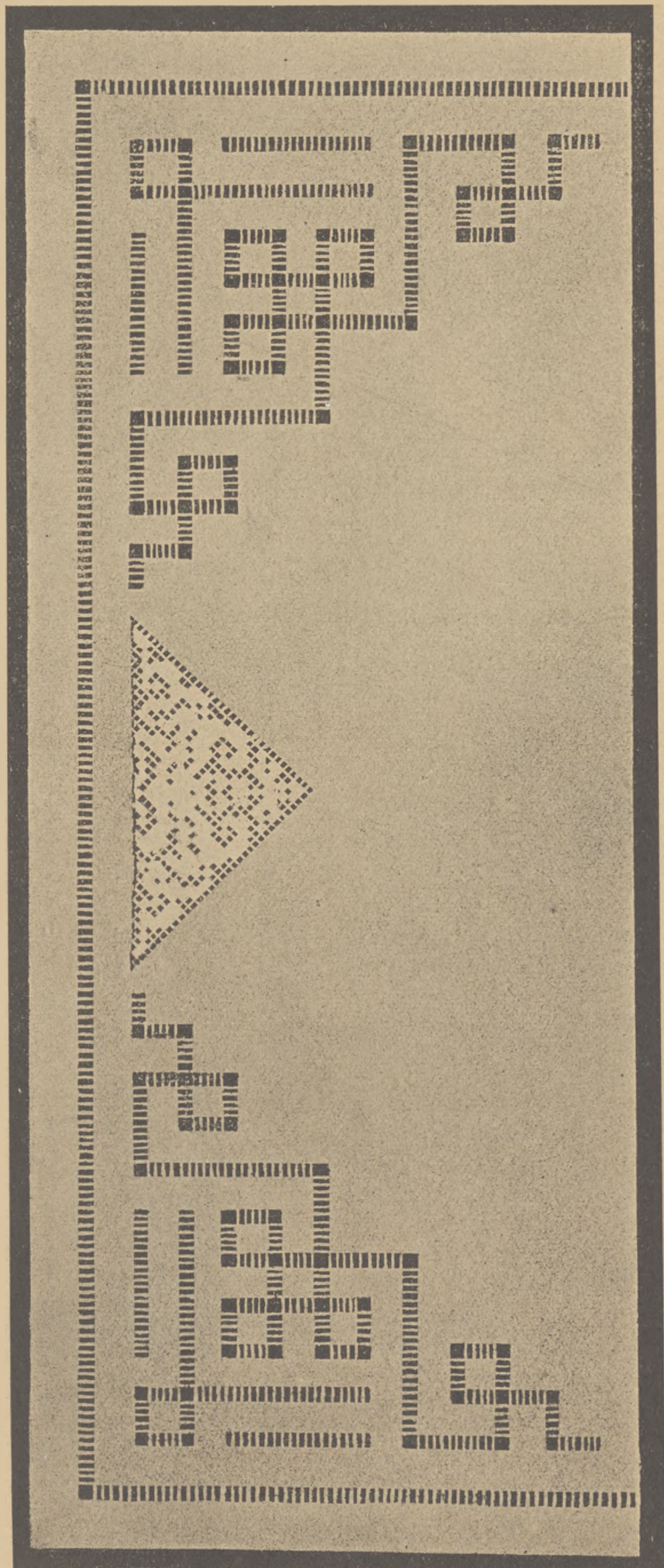
Tłem każdego z tych trzech modeli jest rodzaj tkaniny, z którego toaleta została skomponowana.

Żądajmy przedewszystkiem wyrobów krajowych!
Zanim kupimy nową suknię, sprawdźmy czy zeszłoroczne nie nadają się do przerobienia, które bieżąca moda widocznie faworyzuje.



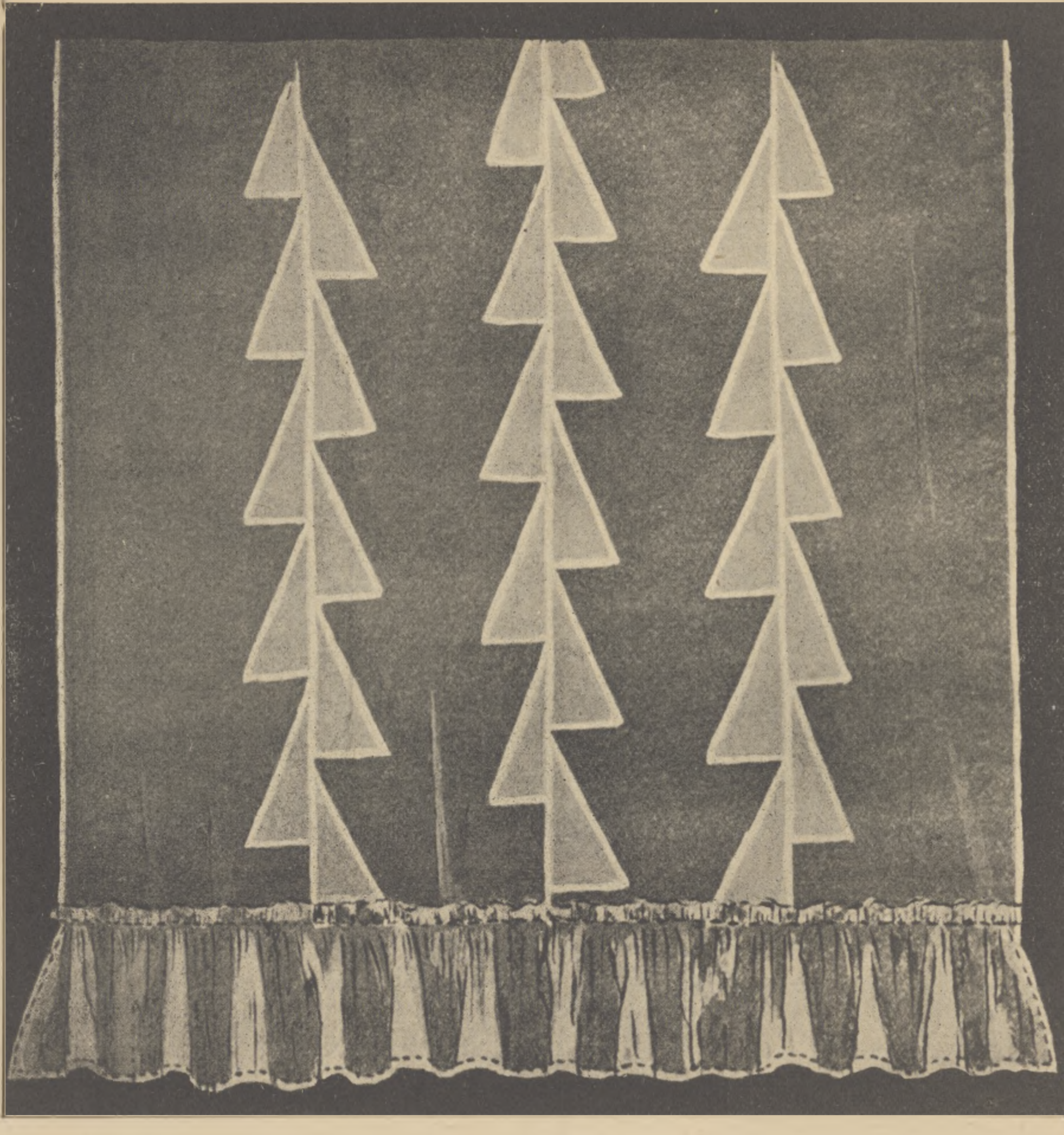
Rys. 255. — Wstawka do zdobienia bielizny osobistej lub pościelowej. Aplikacja na tiulu, wraz z wyszyciem ozdobnym ściegiem.

Proj. prof. St. Kacprowski



Rys. 256. — Fartuch do prześcieradła pod kołdrę, ozdobiony mereżkami i motywem filet.

Proj. prof. St. Kacprowski



Rys. 257. — Firanka storowa; aplikacja batystu na tiulu. — Proj. prof. St. Kacprowski

PLOTECZKI O MODZIE

Dok. art. ze str. 564

Kolor „blond" — w nowym odcieniu leciutko różowawym ślicznie wygląda w koronce, tiulu, morze i doskonale ubiera wieczorem blondynki.

Kwiaty — po sezonowej przerwie, nosimy znowu. Przypinamy je zależnie od modelu i kaprysu: na ramieniu, zboku stanika poniżej wycięcia, przy pasku na biodrze, lub wtyle, jako zakończenie dekoltażu na plecach, a czasem rzucamy je gdzieś przy jakimś wolancie w połowie sukni lub niżej. Do wyboru.

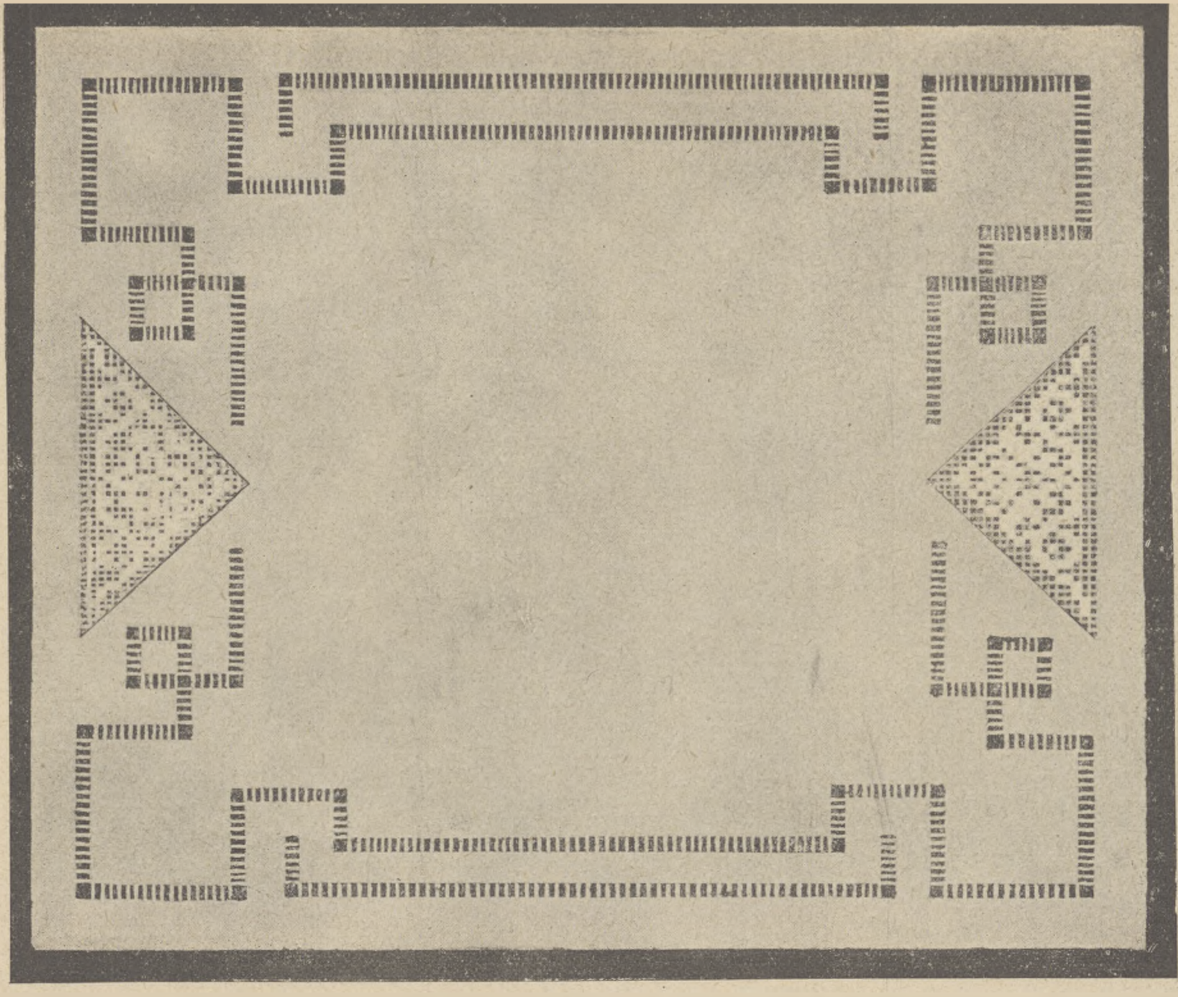
Świeże kwiaty — noszą elegantki w rękach; jakiś poszczególny rzadki kwiat na długiej łodydze, albo jednolitą wiązankę. Wtedy, rzecz jasna, nie można mieć kwiatów przy sukni.

Ze starych balowych nowe — łatwo uzyskać w następujący sposób. Zeszłoroczną suknię ścieśnić w bocznych szwach do fasonu princesse. Następnie zaciąć w kilku miejscach dołem na różnych wysokościach i wstawić długie godety z tiulu lub z koronki, z muślinu i t. p. Drugi sposób: Zwęzić całą i ponaszywać wolantami asymetrycznie, zdłużając przytem suknię. Trzeci sposób: Zwężoną i krótką suknię przykryć w całości tiułem, przyczem obwód może być równy, lub asymetryczny. Istnieje jeszcze mnóstwo sposobów przerabiania, zwłaszcza wieczorowych toalet, ale potrzebne byłyby do tego, oprócz słownych rad, rysunki. Panie same muszą uczyć się patrzeć na modele.

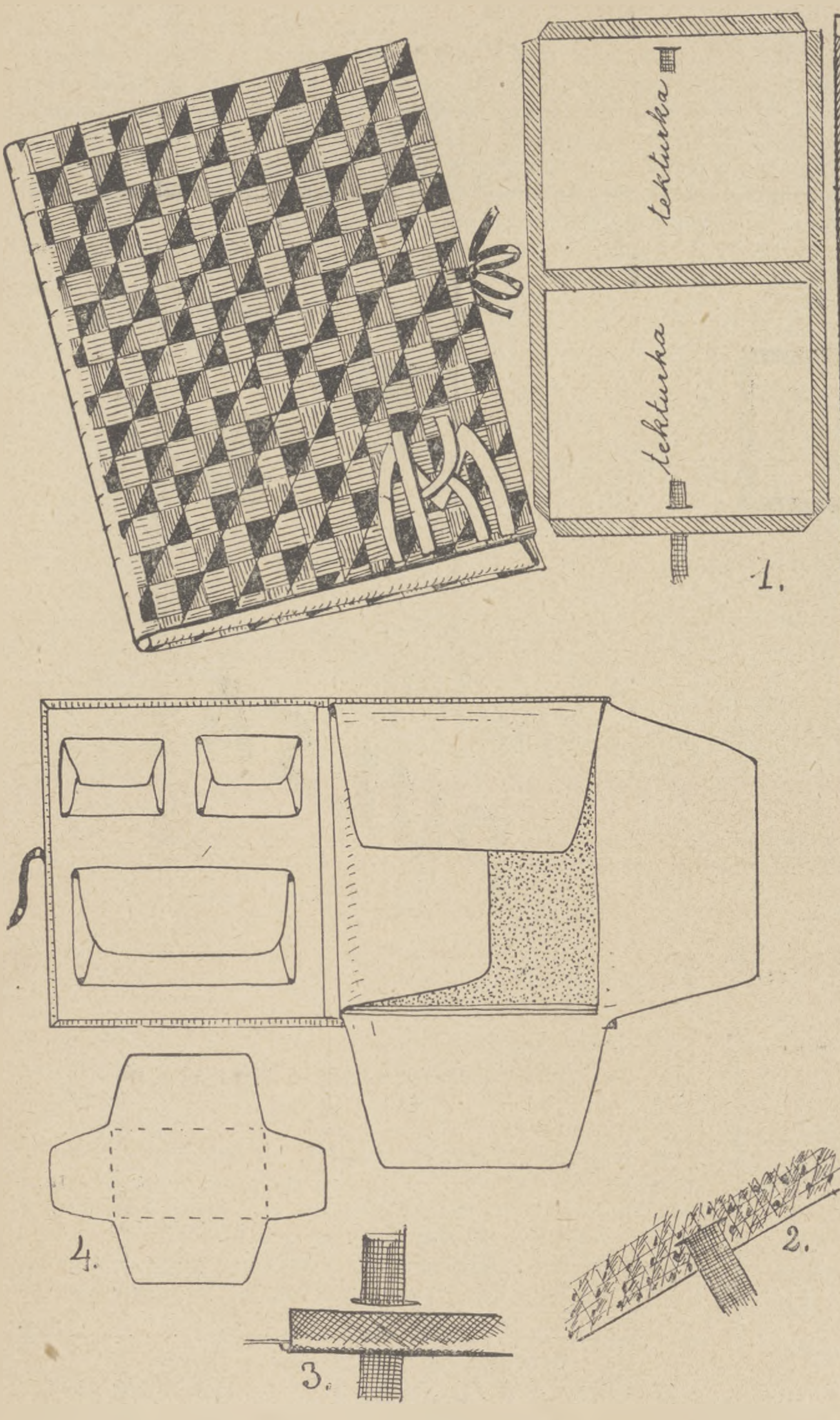
Na zakończenie i na pociechę wszystkich pań i panów martwiących się modą długich sukien donoszę, że słynny dom mody w Paryżu, Lucien Lelong, nie szyje sukien długich. Przetłumaczę wiernie jego wyznanie wiary: „Nigdy i pod żadnym warunkiem nie pozwoliłbym sobie na kreacje długich sukien; mogą być odrobinę dłuższe, aniżeli roku ubiegłego, mogą mieć obwód asymetryczny — ale to wszystko".

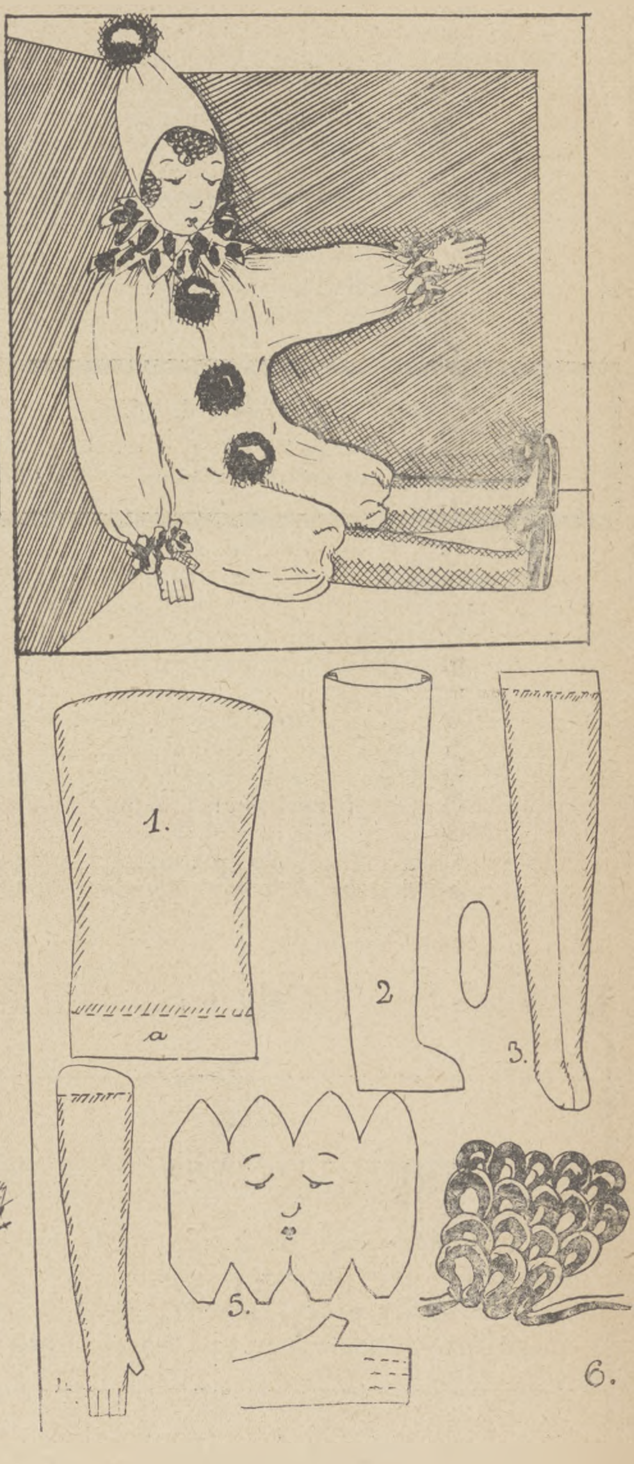
Ileż westchnień ulgi słyszę w tej chwili!

CAILLER-SOBAŃSKA



Rys. 258. — Poduszka prostokątna, ozdobiona mereżkami i motywami filet. — Proj. prof. St. Kacprowski.





TECZKA NA ZESZYTY JAKO PODAREK

Marzeniem każdego małego ucznia są piękne przybory szkolne. Do nich należy teczka, służąca do przechowania bibuły, nalepek i zeszytów, znana niegdyś w dawnym zaborze pruskim. Ponieważ nie można jej już dostać w handlu, radzimy sporządzić ją własnoręcznie z tekturki, kretonu albo papieru introligatorskiego i papieru białego.

Skroić kreton (w drobny wzór) 2 razy tak duży jak złożony zeszyt, z dodatkiem na założenie i na grzbiet, rys. 1. Dwie tekturki, odrobinę większe niż zeszyt, przykleić, następnie zaciąć na przewleczenie wiązadeł, które należy przykleić, do tekturki, rys. 1, 2 i 3. Teraz zagiąć brzegi i nakleić wewnątrz biały papier na 4 mm od brzegów. Schowek na bibułę w kształcie koperty wykroić w całości z lśniącego białego kartonu i przykleić do dolnej okładki teczki, ob. rozłożoną teczkę, tak samo mniejsze schowki na nalepki, rys. 4.

Wierzch teczki można ozdobić naklejonym albo wyszytym lub też wybitym metalowym monogramem.

PAJAC Z MATERJI

Tułów uszyty z materji ma ruchome nogi i ramiona. Rys. 1 przedstawia wypchany tułów z brzegiem u dołu, przeznaczonym do przyszycia nóg, a. Nogi o kroju prostym mają wstawione podeszwy i po wypchaniu pozostawiony u góry brzeżek do przyszycia, rys. 2 i 3.

Ramiona również proste są zakończone dłoniami z wystebnowanemi palcami, rys. 4.

Główka uszyta z jednego kawałka jest u góry i u dołu zaokrąglona zapomocą wszytek, rys. 5. Rysy twarzyczki namalowane albo wyszyte. Zręczniejsze panie mogą skroić główkę wukos, napełnić parafiną albo woskiem i wymodelować rysy, następnie pomalować. Po wypchaniu przyszyć główkę do tułowia i wyszyć fryzurę z włóczki, rys. 6.

Ubranie kimonowe łatwe do uszycia, z jaskrawego lśniącego materjału, przybrane riuszkami u szyi i rąk, zaś pomponami z włóczki albo lacetu u przodu. Śpiczastą czapeczkę zdobi również pompon, podobnie jak pantofelki.

Dostarczamy kroju na pajaca i jego ubranie. Wysokość 40 cm bez czapki.

Z. KULCZYCKA

SZKOLMY SŁUŻĄCE NASZE SAME!

1) Nie można odmówić cech wielkiej aktualności i zarazem doniosłości, jakie łączy w sobie zagadnienie służby domowej. Powszechne i zresztą zupełnie uzasadnione jest przekonanie, że przeżywamy obecnie kryzys we wzajemnem ustosunkowaniu się przedstawicielek służby domowej względem swych pracodawców.

Ameryka i Europa zachodnia mają te okresy życia ekonomiczno-społecznego dawno poza sobą. Tam stosunki wzajemne uregulowały się w ten sposób, że „stała służba" utrzymywana w domu okazała się luksusem, na który zaledwie niewielki procent ludzi bardzo zamożnych może sobie pozwolić.

Braku jednak służby nikt tam dotkliwie nie odczuwa, ponieważ zastąpiły ją w zupełności najróżnorodniejsze rodzaje udoskonaleń technicznych, a także i standaryzacja życia gospodarskiego oraz metod pracy na terenie domowym.

Naszym warunkom gospodarczym daleko do poziomu zachodnio-europejskiego, natomiast bardzo niedaleka jest przed nami przyszłość zupełnego zaniku dobrej, wykwalifikowanej i przychylnej służby.

Dla gospodyni polskiej brak służącej nie jest równoznaczny z brakiem jej dla gospodyni francuskiej lub amerykańskiej, dlatego należy poważnie zastanowić się nad powyższem zagadnieniem, z punktu widzenia chociażby interesów własnych.

Wpływy destrukcyjne i demoralizacyjne objawiły się pośród służby naszej w całej pełni dopiero w okresie powojennym.

Przed wojną służba domowa rekrutowała się z przedstawicielek pewnej kategorji społecznej, była rozklasyfikowana według uzdolnień, legitymowała się książkami służbowemi i pretendować mogła do ściśle określonych norm płacy, które były proporcjonalne do podejmowanych obowiązków i deklarowanych uzdolnień.

Dzisiaj służba domowa zmieniła zasadniczo swe oblicze, wyzwoliła się z pod wszelkiej kontroli, w związku z czem obniżyła niesłychanie poziom swój zawodowy, a punkt ciężkości skierowała na podniesienie stopy zarobkowej oraz ochronę interesów własnych.

Obecnie żadna służąca nie idzie do obowiązku ze zrozumieniem, że to jest jej sposób zarobkowania, który przez całe życie stanowić będzie podstawę jej egzystencji, i w którym ona z biegiem czasu powinna się doskonalić, przechodząc pokolei wszystkie szczeble tej umiejętności. Dziś „służbę" dziewczęta uważają za pewien przejściowy okres w życiu. Punktem wyjścia staje się dla nich zazwyczaj zamążpójście lub w najgorszym razie zmiana zatrudnienia na inne, w pojęciu ich bardziej zaszczytne, jak np. kelnerki, sklepowej, manikiurzystki i t. p.

Do „służby" idą z konieczności, pod naporem nędzy oraz zrozumienia własnego nieuctwa, gdyż jest to najłatwiejszy sposób rozstrzygnięcia zawiłej kwestji — wyboru zawodu!

W mniemaniu obecnych przedstawicielek służby domowej, zajęcie ich nie jest fachem, jak każdy inny, tem samem więc nie obowiązuje ich ani do elementarnego chociażby wykształcenia, ani umiejętności zawodowej, ani co najważniejsze do powołania, czy zamiłowania do pracy przy gospodarstwie domowem.

Szkół zawodowych dla służących dotychczas żeśmy się nie dorobili, mimo iż „związków zawodowych dla służby domowej" mamy dość pokaźną liczbę. Związki te konsolidują się, urastają w siłę, nie natrafiając na żadną przeciwwagę ze strony pracodawców. W ten sposób warunki wzajemnego współżycia stają się coraz bardziej naprężone i coraz częściej przyczyniają się do wyzysku i obustronnego nadużywania sytuacyj lokalnych.

(Dok. nast.)

MARJA ANKIEWICZOWA

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

POD ZNAKIEM ŚWIĄT I SYLWESTRA. Na święta pragniemy przedewszystkiem nowych przepisów na pieczywo i torty, zaś na Sylwestra dań do bufetu i napojów. Stosując się do tych potrzeb, podajemy kilka oryginalnych a oszczędnych przepisów:

ROULADA ORZECHOWA. Ubić na kraju blachy 5 całych jaj z 17 dkg cukru, dodać 10 dkg mąki i 5 dkg przyrumienionych i tartych orzechów laskowych. Wyłożyć masę na grubość palca na wysmarowaną blachę, upiec szybko, posmarować marmeladą, zwinąć, powlec marmeladą, posypać grubo posiekanemi orzechami.

TORT JABŁCZANY NIEPIECZONY. Zagotować gęsty syrop z 50 dkg cukru, dodać 1 kg obranych i pokrajanych jabłek, 25 dkg mielonych migdałów, 20 dkg cykaty drobno posiekanej, sok i skórkę z cytryny i zagotować aż zgęstnieje. Ułożyć wystudzoną masę na karlsbadzkich opłatkach i suszyć przez 2—3 dni. Polukrować pomadkowym lukrem cytrynowym i przybrać jak poprzedni.

SAŁATA Z JAJ I POMIDORÓW. Przetrzeć 2 żółtka, dodać łyżkę masła, 1/9 łyżeczki pasty Anchovis, kilka kropel soku cytrynowego, szczyptę pieprzu, napełnić tą masą połówki białek, powlec ostrą galaretą, posypać posiekanym szczypiorkiem. Ułożyć połówki jaj na plasterkach pomidorów z konserw, przyprawionych octem, oliwą i solą. Przybrać posiekaną galaretką i szczypiorkiem.

SAŁATA JARZYNOWA. Ugotować różyczki kalafjorów, dodać fasolkę szparagową i zieloną z konserw, pieczarki, marchewkę pokrajaną w paseczki, polać majonezem, posypać siekaną pietruszką, przybrać zwiniętemi sardelkami.

SAŁATA MYŚLIWSKA. Pokrajać ugotowane peklowane mięso, ozór, szalotki, seler, ugotowane jaja, kartofle marynowane w soku cytrynowym z oliwą i wymieszane z majonezem, wszystko wymieszać, obłożyć marynowaną zieloną fasolką albo ćwikłą z chrzanem.

FIN-DU-SIECLE. Ubić białko z cukrem, odstawić. Do miksera ½ podrobionego lodu, 1 żółtko, 3 łyżeczki syropu, 2 łyżeczki soku cytrynowego, ¼ Maraschino, ½ benedyktynki, pół Curaçao, ½ konjaku, potrząsać, przecedzić do szklanek, przybrać białkiem, które polać do połowy czerwoną waniljową, do połowy zieloną miętową.

ROULADA KAPUCYŃSKA. Zamiesić ciasto drożdżowe z 30 dkg mąki, 1 żółtka, 8 dkg stopionego masła, szczypty soli i letniego mleka, w którem rozpuszczono 1 dkg drożdży. Podczas gdy ciasto rośnie, sporządzić nadziankę z 8 dkg cukru zagotowanego z odrobiną wody na gęsty syrop, 15 dkg rodzynek, 15 dkg obranych i pokrajanych migdałów i skórki z ½ cytryny. Wszystko zagotować w syropie, gdy wystygnie dodać 3 łyżki rumu. Ciasto wywałkować na grubość palca, przełożyć masą, zwinąć, ułożyć na wysmarowanej blasze, gdy podrośnie, upiec w gorącym piecu. Gdy wystygnie, powlec polewą z 12 dkg czekolady i 8 dkg cukru zgotowanego do nitki. Upiec na 1 dzień naprzód.

TORT NIEPIECZONY. Zemleć 25 dkg migdałów albo orzechów (mogą być amerykańskie), dodać kilka tartych gorzkich migdałów, 50 dkg mączki cukrowej, sok z 1 cytryny, 3—4 białka i trzeć wszystko razem przez 30 min. Osobno zamieszać gęstą marmeladę z 1 łyżką masła, 1 białkiem i kwaterką tartych kruchych ciastek. Przekładać: 1 warstwa pierwszej masy, 2 warstwa drugiej masy i tak naprzemian 2 razy, na wierzch pierwsza masa. Powlec lukrem cytrynowym, przybrać kwiatami z masy pomadkowej różnie zabarwionej albo wyciętemi z serów owocowych.

COCKTAIL SIDECAR. Cointreau ½, konjaku ½, sok z ¼ cytryny, odrobinę wody sodowej, cukru.

PONCZ SHERRY. Po ½ l Sherry, araku, 1 l wody, 12 dkg cukru. Ogrzać, podać z płatkami cytryny.

LEGUMINA Z RUMEM. — Zaparzyć ⅛ kg mąki w ¼ l mleka z 6 dkg masła i 15 dkg cukru, mieszać aż wystygnie, dodać stopniowo 4 żółtka, sok z 2 cytryn, 5 dkg masła, ⅛ l rumu i pianę z 4 białek. Włożyć do wysmarowanej formy do trzy czwartej wysokości i piec przez 1 godzinę.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

MŁODA MĘŻATKA. — Redakcja udziela istotnie z całą gotowością porad praktycznych i higjenicznych, nie zajmuje się jednak leczeniem, czego jej nawet nie wolno. Panie, które w swych listach wspominają, że pomoc fachowa lekarska zawiodła i dlatego zwracają się do redakcji, nie orjentują się chyba w sytuacji. Jakto, więc osobista konsultacja u lekarza i jego fachowa wiedza mniej zasługuje na zaufanie, aniżeli odpowiedź redakcji? Przecież to jest zupełnie coś innego udzielanie wskazówek z zakresu różnych praktycznych dziedzin, lub drobnych usterek kosmetycznych, a co innego leczenie chorób. Trzeba i to zrozumieć, w interesie własnym, że nawet żaden lekarz nie będzie leczył bez zbadania pacjentki i na niewidziane nie wyda diagnozy. A cóż dopiero redakcja. Opisane objawy przemawiają za tem, że powinna Pani udać się do specjalisty chorób wewnętrznych, zamieszkałego w uniwersyteckiem mieście, gdyż do ustalenia diagnozy potrzebne być mogą różne analizy.

ANIELA W. — Prosimy o przeczytanie poprzedniej odpowiedzi, którą uzupełniamy tem, że nie możemy umieścić wezwania Pani do Czytelniczek, by sobie udzielały wzajemnie recept na niewinne środki lecznicze, gdyż uważamy taką rzecz za zdrożną. To, co wprowadza zacytowane przez Panią pismo, nie zachęca nas wcale, gdyż nie mamy ochoty wejść w kolizję z własnem sumieniem, z etyką społeczną, ani wkońcu z władzami państwowemi.

BUCHALTERKA. — Sądzimy, że najodpowiedniejszym podarkiem będzie książka.

P. LUDWIKA WOLSKA. — Cieszy nasz szczerze zapewnienie, że artykuł w ostatnim „Kurjerku" poruszył sumienie Pani i zwrócił Jej uwagę w kierunku nabywania książek, zamiast pożyczania. Jako przyjaciółce języka francuskiego polecamy Pani wspaniałe dzieło: L a r o u s s e M é n a g e r, D i c t i o n n a i r e i l l u s t r é d e l a v i e d o m e s t i q u e. Jest to dzieło przeznaczone dla tych pań, które nie mogą się zdobyć na kupno kilkunastotomowej drogiej encyklopedji. Zawiera najszczegółowsze objaśnienia, 21.121 rysunków, 48 tablic jedno- i wielobarwnych, 1260 stron druku. Każda kobieta pragnąca prowadzić dom na stopie współczesnej a oszczędnej powinna posiadać tę nieocenioną encyklopedję. Zechce się Pani zwrócić do Księgarni Polskiej, dział: L i v r e s f r a n ç a i s.

Z NADESŁANYCH KSIĄŻEK

Dr Jan Piątek: Zasady przyzwoitego zachowania się młodzieży szkolnej. Wyd. III, Książnica-Atlas, Warszawa — Lwów. — Jest to książeczka, która powinna znaleźć się w ręku każdego chłopca w wieku szkolnym. Uczy ona w sposób przystępny i miły zasad dobrego wychowania, którego owoce zbiera młody człowiek w przyszłości. Brak dobrych manjer popsuł już niejednemu powodzenie w życiu i odsunął go od środowiska, któreby mu się należało z powodu innych jego wartości. Wskazówki ilustrowane są świetnemi, lekko humorem zabarwionemi rysunkami K a m i l a M a c k i e w i c z a. Obowiązkiem każdej matki jest dostarczenie tej książki swemu synowi.

M. Arcta wydawnictwa książek dla dzieci mają już ustaloną i to jak najchlubniejszą markę. Znać w nich usilne starania o rozbudzenie w światku dziecięcym zmysłu estetycznego i ukochania książki. Dobór autorów i ilustratorów świadczy o tem najlepiej:

J. Ejsmond: Baśń o ziemnych ludkach. Czarujące wierszyki o kwiatach, trawach i ziołach z 10 prześlicznemi, kolorowemi planszami.

M. Konopnicka: Psałterz dziecka. Jest to zbiór pięknych modlitewek, które powinny się znaleźć w rękach każdego polskiego dziecka.

Or-Ot: Leśna królewna. Wierszowana baśń, ozdobiona kolorowemi tablicami.

M. Bujno-Arctowa: Czar-Baba. Opowieść dla dorastającej młodzieży, malująca wiernie środowisko wiejskie, bez apoteozowania lub obniżania ludu. Ilustracje Gr.-Ostrowskiej oparte na polskich motywach ludowych.

M. Bujno-Arctowa: Wieś szczęśliwa. Powieść na tle ludowem, w którem szlachetną rolę odgrywa młoda nauczycielka, a dopomaga jej mała sierotka Krysia. Pogodny humor jest wielką zaletą tej książki.

M. Dynowska: Domino. Zbiór milutkich zgrabnych wierszyków, nader pomysłowo i wytwornie ilustrowanych przez Marję Weinles. Obrazki, z których każdy odpowiada jednej kostce domina, przedstawiają sceny z zabaw dziecięcych.

Galopin i de la Vaulx: Zuchwały lot. Powieść lotnicza, której właściwym bohaterem jest młody chłopak o mieszanej krwi polsko-francuskiej. W opis przygód trzech lotników dokonywających podróży naokoło świata wpleciono sporo wiadomości naukowych. Lektura lekka i zajmująca, ożywiona około 200 rycinami na 500 stronach druku.

Le Rouge: Więzień na Marsie, ilustrowana powieść dla dorastającej młodzieży. Przedstawione są w niej przygody inżyniera, wyrzuconego w stalowym pocisku na Marsa. Opisy fantastycznych przeżyć i odkryć są tak ciekawe, że trzymają czytelnika w napięciu przez cały czas lektury.

Matki, pamiętajcie o tem, że pod żadną choinką nie powinno brakować książki, tego najcenniejszego daru, który kształci dusze Waszych dzieci.

Spisu książek dla dzieci w każdym wieku dostarcza na żądanie bezpłatnie Księgarnia Polska.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3

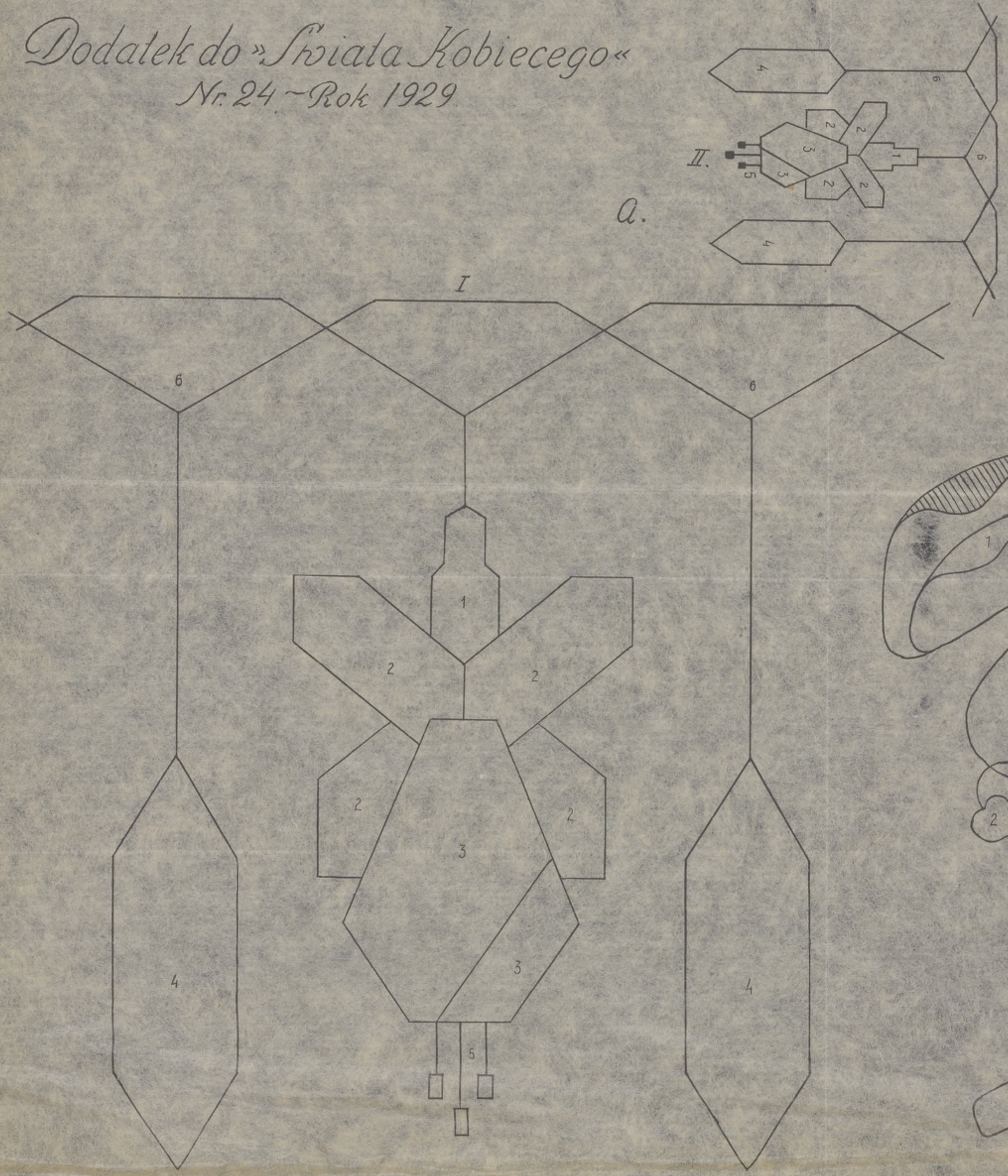
Telefon administracji: 4-32 Z drukarni Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Telefon redakcji: 48-34

Dodatek do „Świata Kobiecego"
Nr. 24. — Rok 1929.

a.

I

II.



a. Motywy zdobnicze na kimono damskie.

I. Aplikacja i haft gałązkowy na dolny brzeg kimona.

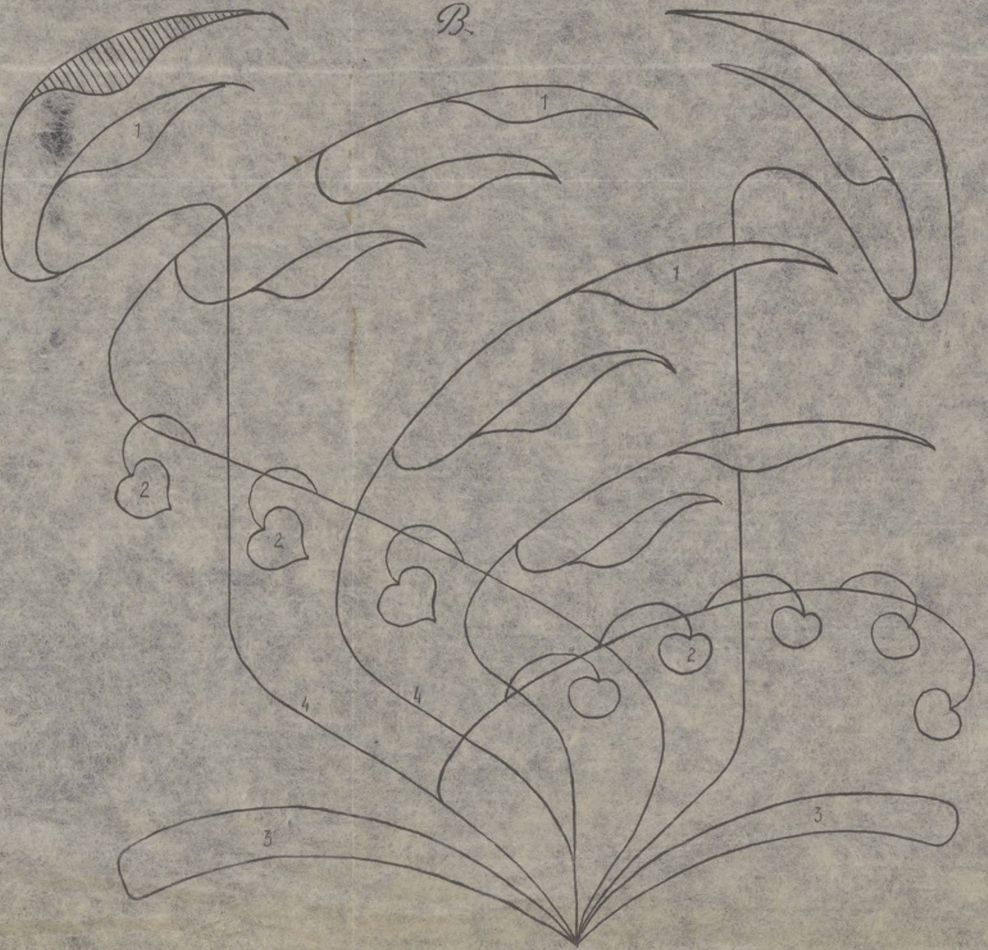
II. Haft płaski gałązkowy do wykończenia rękawów i wycięcia koło szyji. Kolory: 1 ciemno-zielony, 2 wiśniowy, 3 kremowy, 4 jasno-zielony, 5 ciemno-bronzowy 6 bronzowo-zielony.

B. Motyw zdobniczy na portjerę lub lambrekin.

haft płaski i gałązkowy; do haftu użyć sztucznego jedwabiu lub nici D.M.C. Moulliné;

kolory: 1 (liście) jasne i średnie zielone, 2 (kwiaty) liljowe, niebieskie, różowe, kremowe, 3 ciemno-zielone, 4 (gałązki) bronzowo-zielone.

B.



Dodatek do »Świata Kobiecego«
Nr 24 — Rok 1929

A. Motywy zdobnicze na kimono damskie

I Aplikacja i haft gałązkowy na dolny brzeg kimona

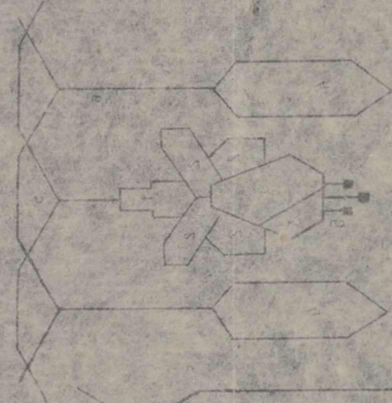
II Haft płaski gałązkowy do wykończenia rękawów i wycięcia koło szyi. Kolory: 1 ciemno zielony, 2 żarowy, 3 kremowy, 4 jasno-zielony, 5 ciemno-bronzowy, 6 bronzowo-zielony.

B. Motyw zdobniczy na poduszkę lub lambrekin

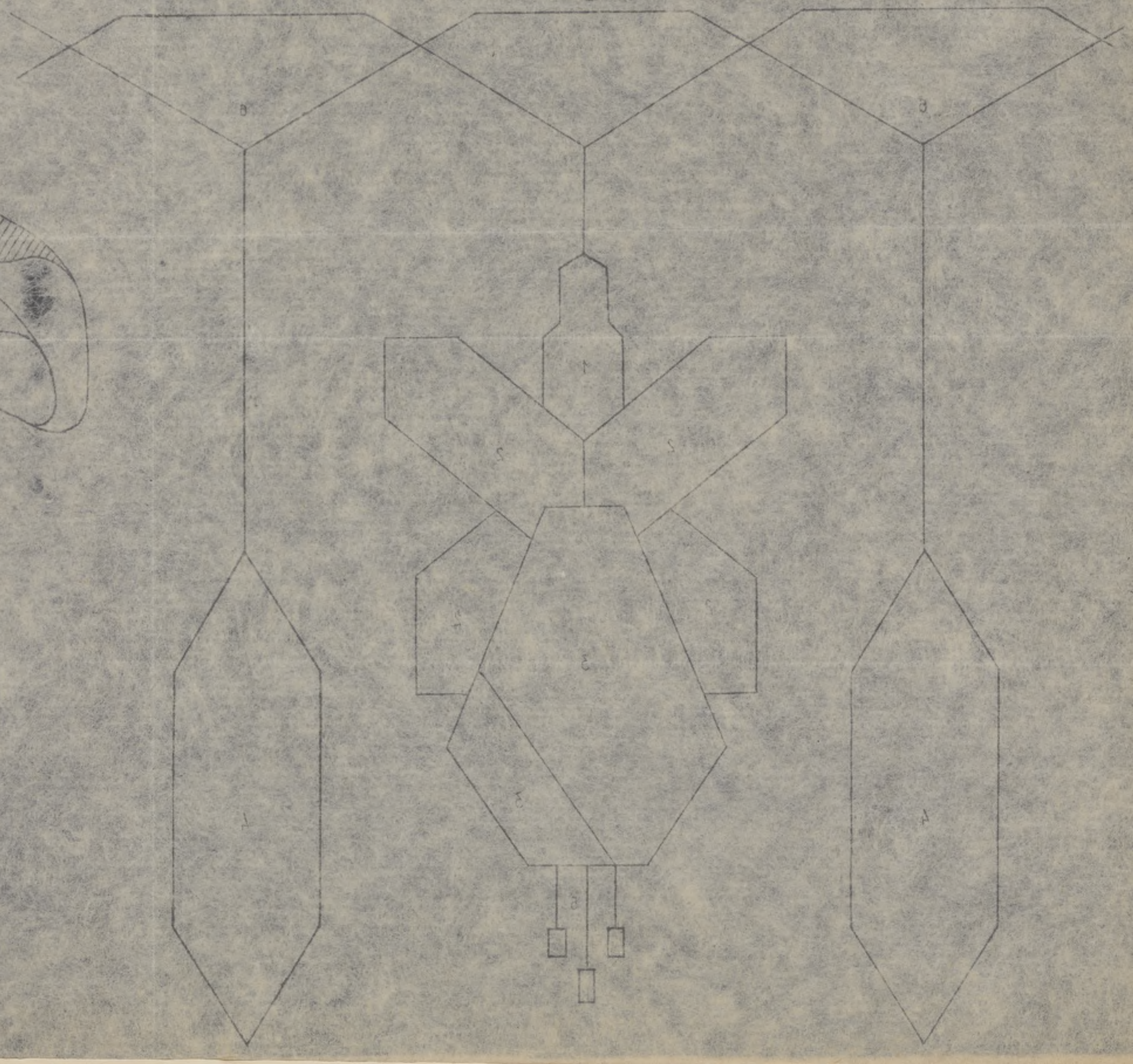
haft płaski i gałązkowy, do haftu użyć sztucznego jedwabiu lub nici D.M.C. Mouliné; kolory: 1 (liście) jasno i średnio zielone, 2 (kwiaty) liliowe, niebieskie, różowe, kremowe, 3 ciemno-zielone, 4 (gałązki) bronzowo-zielone.

A.

II



I



B.

